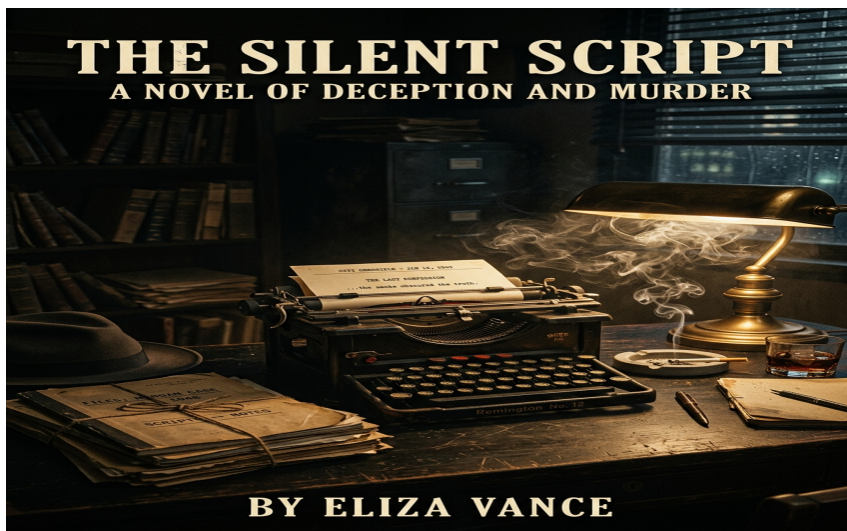




Ci którzy tam pisali

Powieść zbudowana z archiwum największego polskiego forum o uwodzeniu

PROJEKT WYGRYW · 2026

Spis treści

Uwaga od autora

I. Światło monitora

Rozdział 1. Rejestracja w ciemności

Rozdział 2. Słownik nowicjusza

Rozdział 3. Pierwsza noc w klubie

Rozdział 4. Taksówka o drugiej w nocy

Rozdział 5. Znalezienie archiwum

Rozdział 6. Prognozowanie porażki

II. Rzeczywistość i iluzja

Rozdział 7. Przystanek autobusowy w deszczu

Rozdział 8. Raport, który powstał w głowie

Rozdział 9. Przeprowadzka koleżanki

Rozdział 10. Komentarz do starego wątku

Rozdział 11. Złot w stolicy

Rozdział 12. Pęknięcie ramy

III. Pożegnanie z forum

Rozdział 13. Ostatni wpis o genetyce

Rozdział 14. Skasowany post

Rozdział 15. Pierwsze „Nie”

Rozdział 16. Awaria serwera

Rozdział 17. Pusta strona główna

Rozdział 18. Spacer bez scenariusza

IV. Piętnaście lat później

Rozdział 19. Spotkanie w kawiarni

Rozdział 20. Prawdziwa rozmowa

Rozdział 21. Dom z własnymi granicami

Rozdział 22. Ostatni plik z archiwum

Rozdział 23. Co zostaje z trzydziestu ośmiu tysięcy wątków

Rozdział 24. Zakończenie: Zwyczajne życie bez gier

Powieść zbudowana z archiwum największego polskiego forum o uwodzeniu

Projekt Wygryw

2026

Uwaga od autora

Bohaterowie tej książki są postaciami kompozytowymi. Powstali z analizy ponad trzydziestu ośmiu tysięcy wątków i dziesięciu tysięcy wpisów otwierających na największym polskim forum o uwodzeniu, jakie działało w Polsce.

Cytaty z forum zachowano w ich oryginalnym brzmieniu, z uwzględnieniem literówek, braku polskich znaków i specyficznego żargonu forum. Żaden z bohaterów nie odpowiada jeden do jednego konkretnej żyjącej osobie, ale każda opisana sytuacja wydarzyła się w tamtym archiwum setki razy.



Światło monitora

ROZDZIAŁY 1 DO 6

Rejestracja w ciemności

Piotr, listopad 2008

Monitor CRT pisał cicho na częstotliwości, do której dało się przyzwyczaić po kwadransie. Był to jednostajny, wysoki pisk kineskopu, mieszający się z monotonnym szumem zasilacza pod biurkiem. W pokoju pachniało zimnym herbatnikiem i kurzem z kaloryfera, który po południu zaczął powoli stygnąć. Za oknem, na podwórku studenckiej kamienicy, listopadowy wieczór był ciemny i wilgotny. Szyba pokryła się drobnymi kroplami deszczu, przez które żółte światła latarni rozmywały się w pionowe, brudne smugi.

Piotr siedział w bluzie z wyciągniętymi rękawami, opierając brodę na dłoni. Palce prawej ręki trzymał nieruchomo na plastikowej rolce myszy. Były wciąż zdrętwiałe od chłodu, jakby wilgoć z ulicy nie chciała z nich zejść mimo dwóch godzin spędzonych w mieszkaniu.

Dwie godziny wcześniej wrócił z przystanku przy Świdnickiej we Wrocławiu. Stawał tam w każdy czwartek po zajęciach na politechnice. Przez pół godziny stał pod zadaszeniem wiaty, z teczką wciśniętą pod ramię, wbijając wzrok w mokry bruk. Patrzył na ludzi wsiadających do tramwaju numer sześć i przekonywał się w duchu, że dzisiaj nie jest właściwy moment, bo pada mżawka, a on ma na sobie kurtkę, która źle układa się na ramionach.

To była ciemna, ortalionowa kurtka z bazaru, zbyt szeroka w barach i za krótka w rękawach, kupiona jeszcze w czasach szkoły średniej. Kiedy unosił rękę, materiał ciągnął go pod pachami i sztywno odstawał na plecach. Obserwował dziewczyny w wełnianych płaszczach, które stały zaledwie dwa kroki od niego, czekając na zielone światło albo na kolejny skład w stronę Krzyków. Niektóre pisały wiadomości w telefonach, inne chowały brody w grube szaliki, rozmawiając ze znajomymi. Wystarczyło zrobić jeden krok, zadać zwykle pytanie o cokolwiek, o godzinę albo o

linię, która właśnie zgrzytała na zakręcie. Przez trzydzieści minut układał w myślach pierwsze zdanie, analizował ton głosu i wyobrażał sobie wszystkie warianty kompromitacji. Kiedy tramwaj wreszcie podjeżdżał i otwierał drzwi z głośnym sykiem pneumatyki, Piotr tylko cofał się o pół kroku, robiąc miejsce wsiadającym. Potem wracał do pokoju pieszo przez mosty, z suchym gardłem i tępym poczuciem wstydu, który nie bolał ostro, tylko oblepiał od środka jak mokry śnieg.

Na ekranie świecił niebieski nagłówek z prostym liternictwem. Licznik odwiedzin w stopce pokazywał cztery cyfry.

Trafił na tę stronę przypadkowo, wpisując w okno wyszukiwarki słowa, których wstydziłby się powtórzyć na głos komukolwiek ze swojego roku. Przewijał kolejne działy z dziwnym uciskiem w klatce piersiowej, aż wzrok zatrzymał mu się na jednym ze świeżych wątków.

„Wychodzę z knajpy, mówię sobie, że następnym razem muszę to zrobić, nie mam nic do stracenia itd., ale samoswiadomość nic nie daje.”

Piotr przeczytał to zdanie trzy razy. Znał ten stan. Znał go co do sekundy, co do tego paraliżującego momentu, w którym krew pulsuje w skroniach, a ciało odmawia wykonania najprostszego ruchu. Ktoś inny, obcy człowiek siedzący gdzieś przed własnym monitorem, ubrał w proste słowa całą tę bezradność, z którą Piotr mierzył się w każdy czwartek. Nie było w tym literackiej metafory, tylko chłodna diagnoza mechanizmu, który zaczął się u innych w dokładnie ten sam sposób.

W oknie formularza rejestracyjnego wpisał pseudonim: *Analitik_87*.

Kursor mrugał miarowo w białym prostokącie. Przeszedł tabulatorem do następnych pól. Wpisał hasło, podał adres poczty studenckiej.

W polu „Skąd o nas wiedziałeś” podał: *Wyszukiwarka Google. Szukałem wyjaśnienia, dlaczego jedni potrafią rozmawiać, a inni stoją w miejscu.*

Kiedy kliknął przycisk aktywacyjny, w głowie pojawiło się pierwsze uczucie ulgi. Nie musiał iść na przystanek. Nie musiał już stać w mżawce na Świdnickiej, marznąć i czuć, jak kolejny tramwaj zabiera ludzi, którzy potrafią rozmawiać ze sobą bez żadnego wysiłku. Siedział w ciepłym pokoju, a przed nim otwierało się trzysta stron wątków, w których ludzie z całej Polski opisali dokładnie ten sam lęk.

Słownik nowicjusza

Piotr, marzec 2009

Herbata w ceramicznym kubku wystygła dwie godziny temu, ale Piotr wciąż nie wstawał od biurka. Za oknem, nad osiedlem, wisiała gęsta, mroźna mgła, przez którą przebijały tylko rozmyte, żółte punkty latarni. W wynajmowanym pokoju było chłodno; żeberka kaloryfera ledwo trzymały ciepło. Jedyne światło dawała mała lampka kreslarska z zielonym kloszem oraz dziewiętnastocalowy monitor kineskopowy, który cicho brzęczał przy wyświetlaniu jasnych tel.

W ciągu czterech miesięcy Piotr stworzył w zeszycie A4 własny skorowidz pojęć.

Był to gruby brulion w twardej, czarnej oprawie, z kartkami w drobną niebieską kratkę. Kupił go późną jesienią w małym sklepie papierniczym przy pętli tramwajowej i od tamtej pory codziennie zapełniał go równym, niemal technicznym pismem. Używał czarnego cienkopisu o grubości zero przecinek trzy milimetra, żeby tusz nie przebijał na drugą stronę. Marginesy podzielił ołówkiem i linijką na równe kolumny, a każde nowe hasło zaznaczał przezroczystym, żółtym zakreślaczem.

Przepisywał słowa z angielskimi skrótami, kategoryzując je według porządku i miejsc. Tworzył osobne tabele dla sytuacji na ulicy, w kawiarni, w księgarni i w hałaśliwym klubie studenckim. Rozrysowywał schematy blokowe: małe prostokąty połączone strzałkami prowadziły od pierwszego kontaktu wzrokowego, przez rozpoczęcie rozmowy, aż po zmianę lokalu. Wiedział już, co oznacza zestaw, ograniczenie czasowe, ramka i eskalacja. Słowa te dawały mu poczucie panowania nad chaosem.

Świat ludzi za oknem, który od zawsze wydawał mu się nieprzewidywalny, głośny i pozbawiony logiki, na tych kartkach zamieniał się w przejrzystą strukturę. Wszystko dało się nazwać,

podzielić na etapy i opisać za pomocą algorytmu. Każda reakcja, każde spojrzenie czy milczenie miało swój teoretyczny odpowiednik i przypisaną procedurę. Wystarczyło znać reguły, by przestać się bać.

Na ekranie, na ciemnoniebieskiej stronie forum dyskusyjnego, pojawił się nowy wątek w dziale dla początkujących. Piotr odświeżył widok klawiszem F5. Ktoś o nicku Bezimienny dodał krótki wpis:

„Przeczytałem już cały dział o oporze i mam pytanie. Co robić jak laska na samym początku mówi że ma chłopaka? Czy to jest test czy faktycznie go ma?”

Piotr poprawił okulary, położył palce na poźółklej klawiaturze i odpisał na ten post po siedmiu minutach.

Jego odpowiedź miała cztery akapity. Pisał sprawnie, bez wahania, stukając w wysokie klawisze miarowym, suchym rytmem. Powołał się na dwa zagraniczne podręczniki, których amatorskie tłumaczenia w plikach PDF krążyły w sieci, przeanalizował trzy możliwe warianty psychologiczne i podsumował wszystko wnioskiem, że należy zachować dystans i sprawdzić spójność wypowiedzi. Radził autorowi pytania, by nie okazywał zdziwienia, zignorował uwagę o partnerze i natychmiast skierował rozmowę na neutralny temat, obserwując reakcję rozmówczyni. Czuł się wtedy jak matematyk rozwiązujący proste równanie przed tablicą, pewny każdego kolejnego kroku.

Kiedy kliknął przycisk pod formularzem, na forum wyświetlił się jego post z podpisem i liczbą punktów reputacji. W pokoju znów zapadła cisza, przerywana tylko jednostajnym szumem komputera.

Sam w tym czasie nie odezwał się do nikogo poza panią w dziekanacie.

Pamiętał tamtą wizytę z wtorku. Potrzebował pieczętki na podaniu o przedłużenie terminu zaliczenia. Stał w ciasnym, dusznym korytarzu z wilgotnymi dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki, czekając, aż urzędniczka skończy przeglądać papiery. Kiedy w końcu uniosła wzrok znad biurka, Piotr zdołał jedynie wykrztusić ciche „dzień dobry” i

wsunąć kartkę pod szybę. Jego głos zabrzmiał pusto i chropowato, jak dawno nieużywane narzędzie. Odebrał ostemplowany dokument, skinął głową, nie podnosząc wzroku na kobietę, i szybko wyszedł na schody, czując nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej.

To było jedyne kilka słów, jakie wypowiedział na głos w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Spojrzał na leżący obok monitora brulion. Dokończył ostatnią notatkę, zamknął cienkopis ze słyszalnym kliknięciem skuwki i wyrównał krawędzie papieru.

Kiedy zamykał zeszyt, czuł satysfakcję. Wydawało mu się, że wykonuje ogromną pracę. Nie zauważył, że słownik, który miał mu pomóc w otwarciu ust, stał się grubym murem odgradzającym go od rzeczywistości.

Pierwsza noc w klubie

Kamil, październik 2011

Kamil stał przed lustrem w klubowej toalecie i poprawiał kołnierzyk czarnej koszuli. W powietrzu unosił się zapach tanich perfum i wilgoci. Wąska świetlówka nad zlewem buczała cicho, rzucając na popękane kafelki sine, drżące światło. Zza grubych drzwi dobiegał jednostajny, stłumiony bas, który wprawiał w wibrację blaszany podajnik do papierowych ręczników. Kamil przyjrzał się swojemu odbiciu. Sprawdził, czy pod pachami nie widać ciemniejszych plam potu, a potem z całej siły przetarł wilgotne dłonie o szorstki materiał dżinsów.

Na forum pisał pod nickiem *Apolon_Poznan*. W ciągu pół roku opublikował czternaście raportów. W każdym z nich opisywał pewność siebie, zdecydowane ruchy i podziw w oczach ludzi stojących przy barze. Każdy jego tekst czytało kilkudziesięciu chłopaków z całej Polski, którzy w komentarzach analizowali jego ruchy, prosili o wskazówki i pytali o dobór słów.

„Wchodze do lokalu, od razu przejmuje teren. Ludzie patrza, bo widza ze nie przyszedlem tu stac po kątach. Trzy odezwania w pierwsze dziesiec minut.”

Rzeczywistość wyglądała inaczej. Kamil wszedł do lokalu sam, po kwadransie bezcelowego krążenia po bruku na ulicy Wrocławskiej. Kupienie drinka zajęło mu dwadzieścia minut, podczas których unikał wzroku barmana. Stał w drugim rzędzie przy ciemnym kontuarze, wcisnięty między dwóch głośnych mężczyzn w skórzanych kurtkach. Za każdym razem, gdy barman przesuwiał zniecierpliwionym spojrzeniem po twarzach kolejnych klientów, Kamil natychmiast wbijał wzrok w podłogę albo w wiszący nad półkami z alkoholem neon. Kiedy wreszcie podniósł dwa palce i złożył zamówienie, głos załamał mu się na drugim

słowie.

Przez większość wieczoru krążył między barem a parkietem, trzymając w dłoni szklankę z kruszonym lodem, dopóki lód się nie rozpuścił. W klubie panował zaduch, a muzyka uderzała w skronie twardym rytmem. Kamil starał się stawiać długie, spokojne kroki i trzymać wysoko podbródek, dokładnie tak, jak czytał w poradnikach dla początkujących. Za każdym razem jednak, gdy ktoś ocierał się o jego ramię w ciasnym przejściu, Kamil kulił się odruchowo, schodził na bok i bezgłośnie poruszał wargami, przeprasząc za to, że w ogóle tam stoi.

Około pierwszej w nocy zauważył dziewczynę w czerwonej sukience. Stała sama przy wysokim stoliku barowym niedaleko schodów prowadzących na antresolę, obracając w dłoniach pusty kieliszek. Kamil wziął głęboki oddech, policzył w myślach do trzech i ruszył w jej stronę, czując, jak nogi robią mu się ciężkie jak z ołowiu.

Kiedy podszedł do dziewczyny w czerwonej sukience, zdołał wykrztusić tylko jedno zdanie, po czym odwrócił się na pięcie, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Masz ciekawy zegarek, ale chyba spieszysz o dwie godziny powiedział za głośno, prosto w jej ucho, pochylając się zbyt gwałtownie.

Dziewczyna drgnęła z zaskoczenia i zaczęła unosić głowę, ale Kamil już parł przed siebie w stronę szatni. Paliły go uszy, a krew pulsowała w skroniach tak głośno, że zagłuszała grający w głośnikach kawałek. Odebrał z szatni kurtkę, upuścił na blat pięcioletową monetę i wyszedł na zewnątrz, nie czekając na resztę.

Wracając nocnym autobusem do mieszkania na Wildzie, otworzył w telefonie notes. W pojeździe śmierdziało mokrym materiałem i alkoholem. Za zaporowaną szybą przesuwwały się żółte plamy latarni, puste chodniki i ciemne bryły kamienic przy moście Dworcowym.

Napisanie nowego raportu zajęło mu pół godziny. Przekształcił ucieczkę w „świadome odcięcie uwagi”, a wykrztuszone zdanie w „skuteczną prowokację”. W wersji, którą wstukiwał klawiaturą telefonu, był

opanowany, chłodny i dominujący. Opisał, jak dziewczyna zawahała się pod wpływem jego spojrzenia, i jak sam przerwał kontakt w idealnym momencie, pozostawiając ją w stanie całkowitego zmieszania.

Gdy post pojawił się na forum, otrzymał cztery odpowiedzi z wyrazami szacunku. Jeden ze stałych bywalców napisał krótko: „Dobra robota, Apolon. Widać, że czujesz dynamikę”.

Kamil odłożył telefon na brzeg biurka, obok sterty papierów i pustej szklanki po herbacie. W wynajmowanym pokoju było chłodno, a za oknem słychać było pojedyncze samochody przetaczające się po torowisku. Zjadł zimną parówkę z mikrofali i zasnął w ubraniu.

Taksówka o drugiej w nocy

Marek, maj 2013

Telefon zadzwonił o pierwszej czterdzieści. Marek zerwał się z łóżka, zanim dzwonek powtórzył się po raz drugi. W ciemnym pokoju świecił tylko prostokąt wyświetlacza leżącego na biurku telefonu.

Na ekranie wyświetliło się imię: *Karolina*.

Odebrał, przyciskając słuchawkę do ucha, zanim zdążył pomyśleć o czymkolwiek innym.

- Marek? Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale stoję pod klubem na rynku i nie mam jak wrócić. Olek znowu poszedł gdzieś z kolegami, a mi padła bateria w drugim telefonie. Mogłbyś po mnie przyjechać?

W jej głosie słychać było chłód majowej nocy, hałas tłumu w tle i tę charakterystyczną nutę bezradności, która zawsze natychmiast stawiała go na nogi.

- Będę za piętnaście minut powiedział bez wahania.

Wciągnął dzinsy na spodenki od pizamy, wsunął stopy w niezasnurowane trampki i złapał kluczyki ze stolika przy drzwiach. Na klatce schodowej zbiegał po dwa stopnie, żeby nie tracić czasu na windę.

Ulice były puste. Minął dwa żółte światła na pustych skrzyżowaniach, czując pod palcami chłodną kierownicę starego opla. W maju noce bywały jeszcze zimne, więc włączył nawiew na przednią szybę.

Zobaczył ją z daleka. Stała pod kamienicą obok wejścia do klubu, w za cienkiej kurtce, tuląc torebkę do brzucha. Kiedy zwolnił i zatrzymał się na światłach awaryjnych przy krawężniku, natychmiast pociągnęła za klamkę i wsiadła na przedni fotel. Pachniała dymem papierosowym, słodkimi perfumami i alkoholem.

- Dzięki, naprawdę. Uratowałeś mnie powiedziała, opierając czoło o zimną szybę.

Przez całą drogę do jej mieszkania mówiła prawie bez przerwy. Olek zostawił ją w klubie około północy, mówiąc, że idzie tylko zapalić z ludźmi z pracy, po czym zniknął na dobre. Nie odbierał, odrzucał połączenia, a potem jej telefon po prostu zgasł. Marek prowadził ostrożnie, wpatrzony w puste pasy jezdni, przytakując w odpowiednich momentach i podając jej chusteczkę ze schowka.

Kiedy zaparkował pod jej blokiem, poprosiła, żeby wszedł na chwilę na górę. Mówiła, że trzęsą się jej ręce i nie chce zostać sama w pustym mieszkaniu.

Trzy godziny później siedział na krawędzi jej kanapy, słuchając o tym, jak trudny w relacji jest Olek i jak bardzo Karolina docenia, że ma w swoim życiu kogoś tak wartościowego i wyrozumiałego jak Marek.

W pokoju paliła się tylko mała lampka stojąca na parapecie. Karolina siedziała z podwiniętymi nogami na drugim końcu kanapy, owinięta wełnianym pledem, z kubkiem wystygłej herbaty w dłoniach. Opowiadała o kłótniach z ostatnich tygodni, o jego obojętności, o tym, jak bardzo chciałaby, żeby Olek potrafił z nią rozmawiać tak jak Marek. W pewnej chwili wyciągnęła dłoń i położyła mu palce na ramieniu, ściskając lekko jego przedramię.

- Jesteś dla mnie jak brat, wiesz? powiedziała cicho, patrząc na niego ze zmęczeniem. Z nikim nie potrafię tak rozmawiać. Każda dziewczyna chciałaby mieć takiego faceta.

Marek patrzył w podłogę, na wzór na tanim dywanie, czując, jak krew pulsuje mu w skroniach. Znał te słowa na pamięć. Słyszał je już wcześniej od innych dziewczyn. Za każdym razem brzmiały jak pochwała, a działały jak wyrok, po którym nic już nie mogło się wydarzyć. Mimo to uśmiechnął się słabo, powiedział, że wszystko się ułoży, i siedział dalej, dopóki za oknem nie zaczęło szarzeć niebo i nie odezwały się pierwsze ptaki na podwórku.

„Ona mi mówi że jestem dla niej jak brat i że każda dziewczyna chciałaby mieć takiego faceta. To dlaczego ze mną nie jest tylko z typem który zle ja traktuje?”

Marek zadał to pytanie na forum cztery dni później. W odpowiedzi otrzymał dwadzieścia komentarzy. Jedni pisali, że jest w strefie przyjaźni, inni radzili mu natychmiastowe zerwanie kontaktu. Ktoś kazał mu zastosować całkowite milczenie i czekać, aż sama zacznie go gonić, ktoś inny napisał, że od początku sam ustawił się w roli darmowego szofera i psychoterapeuty.

Przeczytał wszystkie odpowiedzi po trzy razy. Zapisywał niektóre rady w osobnym pliku tekstowym na pulpicie.

Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Tydzień później pojechał pomóc jej w skręcaniu mebli z Ikei.

Znalezienie archiwum

Tomek, listopad 2016

Na biurku stał kubek z zimną herbatą, a na dnie leżała nierozpuszczona warstwa cukru. Tomek natrafił na forum przypadkowo, szukając informacji o tym, jak przestać czuć paralizujący stres podczas prezentacji na studiach. Za cztery dni miał stanąć przed całą grupą seminaryjną i przez dwadzieścia minut omawiać strukturę bilansu przedsiębiorstwa. Od trzech nocy budził się z suchym gardłem i kołataniem serca. Wpisywał w wyszukiwarkę kolejne frazy: techniki oddechowe, jak opanować drżenie rąk, pewność siebie w wystąpieniach publicznych. Wyniki były jałowe. Artykuły z poradników psychologicznych powtarzały w kółko te same banały o piciu niegazowanej wody, prostowaniu pleców i wizualizacji sukcesu. Żadna z tych rad nie mówiła, co zrobić, gdy żołądek zaciska się w twardy węzeł, a język przyrasta do podniebienia.

Kliknął link na piątej stronie wyników, ukryty pod skrótowym, dziwnie sformułowaniem nagłówkiem z błędem w tytule.

Strona była już wciśnięta w głębokie zakamarki sieci. Wyglądała jak porzucone gruzowisko z innej epoki internetu. Przypominała skamielinę, której nikt nie zadał sobie trudu usunąć z serwera, bo opłata za hosting została uregulowana na dekadę do przodu. Reklamy po bokach nie działały, a większość graficznych nagłówków wygasła, zostawiając po sobie jedynie puste szare ramki z małymi ikonami uszkodzonych plików. Tło miało mdły, siny odcień, a wąskie kolumny tabel rozjeżdżały się na nowoczesnym ekranie laptopa. Na dole strony licznik gości pokazywał zero, a ostatnia aktualizacja regulaminu pochodziła z czasów, gdy Tomek chodził jeszcze do szkoły podstawowej.

Zaczął czytać od najstarszych stron. Przeszedł do działu dla początkujących, posortował tematy od pierwszych wątków i zagłębił się

w archiwum. Wątki ciągnęły się setkami, ułożone w równe, zakurzone rzędy. Natrafił na wątek użytkownika *Analitik_87* sprzed ośmiu lat.

„Wychodze z knajpy, mowie sobie, ze następnym razem muszę to zrobić...”

Tomek poczuł dreszcz. Przeczytał wpis napisany osiem lat wcześniej przez człowieka, którego nie znał, i zobaczył własny czwartek.

To było dokładnie to samo uczucie, ten sam ciężar w klatce piersiowej. *Analitik_87* opisywał powrót nocnym autobusem, marznące dłonie w kieszeniach kurtki i wstyd, który palił pod powiekami po tym, jak przez trzy godziny stał pod ścianą ze szklanką taniego piwa, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa do nikogo przy sąsiednim stoliku. Tomek znał ten powrót na pamięć. Pamiętał tramwaj linii cztery, zaparowane szyby, zapach wilgotnego płaszcza i wmawianie sobie, że od jutra wszystko się zmieni, że wystarczy po prostu kupić lepsze buty, ściąć inaczej włosy albo przeczytać jeszcze jedną książkę.

Przez całą noc przeglądał kolejne strony. Pokój wyziebił się, kaloryfer cicho stukał w rogu pod oknem, a niebieskie światło matrycy wypalało mu oczy. Śledził historię *Apolon_Poznan*, który z poziomu pewnego siebie mentora powoli staczał się w agresywne wpisy pełne goryczy, aż w końcu przestał się logować poprzedniej jesieni.

W najwcześniejszych postach *Apolon_Poznan* pouczał innych z wyniosłym chłodem. Pisał długie instrukcje, wyliczał punkty, tłumaczył z góry, jak należy kontrolować każdą sekundę rozmowy, jak modulować głos i jak nie okazywać żadnej słabości. Tworzył wykresy zachowań, odpowiadał nowicюзom z protekcyjną wyższością kogoś, kto rozpracował ludzkie mechanizmy do ostatniej śrubki.

Potem ton zaczął się łamać. Po kilku latach bezustannej aktywności w jego relacjach pojawiły się pęknięcia. Zamiast porad zaczęły dominować pretensje. Z każdym kolejnym miesiącem posty stawały się dłuższe, chaotyczne, pełne jadu wobec kobiet, wobec dawnych znajomych, wobec

całego świata, który nie chciał działać według jego rozpisanych schematów. Ostatni wpis był krótki, wysłany o czwartej nad ranem, bez wielkich liter i bez odpowiedzi od kogokolwiek. Potem nastąpiła martwa cisza. Profil wskazywał, że użytkownik nie odwiedził forum od ponad dwunastu miesięcy.

Za oknem zaczęło powoli szarzeć niebo nad blokami. Na ulicy zawyła śmieciarka. Tomek siedział bez ruchu, opierając podbródek na dłoniach, a kursor migał na pustym polu wyszukiwania. Przed nim rozciągały się tysiące stron, dziesiątki tysięcy wątków pozostawionych przez ludzi, którzy chcieli tylko przestać się bać, a zamiast tego uwięzili samych siebie w sztucznym języku i jałowych teoriach.

Tomek zorientował się, że czyta nekrologi ludzkich złudzeń.

Prognozowanie porażki

Piotr i Tomek, zestawienie

Pokój Piotra pachniał wietrzonym zbyt rzadko kurzem i zimną herbatą w grubym kubku z wyszczerbionym uchem. Na biurku, obok monitora z wypukłym kineskopem, leżał otwarty zeszyt w kratkę. Piotr podzielił stronę na cztery kolumny: data, lokalizacja, czynniki zakłócające, wynik. Przez całą jesień wracał z centrum handlowego i natychmiast, jeszcze w kurtce, zapełniał kolejne linijki drobnym, ściśniętym pismem. Zapisywał tam sekundy wymiany spojrzeń, kąt nachylenia sylwetki mijanych dziewczyn i własne tętno mierzone palcem na tętnicy szyjnej. W rubryce wyników za każdym razem bez wahania stawiał minus.

Nie podszedł do nikogo. Ani razu nie zatrzymał się przy witrynie sklepowej na tyle blisko, by powiedzieć choćby jedno słowo. Zamiast tego jeździł w górę i w dół ruchomymi schodami, patrzył na odbicia w szkle i notował w pamięci wyimaginowane scenariusze. W jego głowie każda ewentualna rozmowa kończyła się natychmiastową klęską: skrzywieniem warg, szybkim krokiem w bok, cichym parsknięciem. Przed wyjściem stał przed lustrem w przedpokoju, mówił na głos dwa zdania i za każdym razem dochodził do wniosku, że brzmi zbyt piskliwie, a jego ramiona są za wąskie w stosunku do wzrostu. Po powrocie do domu zamieniał ten paraliżujący wstyd w chłodne tabelki.

Otworzył nowe okno w przeglądarce i wystukał na klawiaturze:

„Analizowałem swoje podejścia z ostatniego kwartału. Wynika z nich jasno ze mój profil głosu i brak odpowiedniego wzrostu powoduje odrzucenie w pierwszych 5 sekundach. Nie ma sensu próbować dopóki nie przepracuję ramy.”

Wciśnięcie klawisza Enter przyniosło mu natychmiastową ulgę. Ubrał swój lęk w język raportu technicznego, a to zwalniało go z wszelkiej

odpowiedzialności i konieczności działania. Skoro problemem była mechanika i biologia, a nie brak odwagi, mógł ze spokojnym sumieniem zamknąć zeszyt i zostać w bezpiecznym pokoju. Piotr nie zauważył wtedy, że w jego „analizie” brakowało najważniejszego elementu: próby na żywo. Wszystkie wnioski wyciągnął z własnych wyobrażeń o tym, co mogłoby się stać.

Sześć lat później Tomek czytał ten wpis na ekranie smartfona.

Leżał w ubraniu na wersalce w wynajmowanym pokoju na przedmieściach. Za oknem powoli gasły światła w oknach bloków z wielkiej płyty, a w pokoju jedynym źródłem jasności był błękitny prostokąt telefonu, który grzał go w dłoń. Tomek trafił na stary wątek przez wyszukiwarkę, dokopując się do najgłębszych archiwów. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata i od dwóch godzin zbierał się do wyjścia do pobliskiego sklepu całodobowego. Kurtka leżała rzucona na oparcie fotela, buty stały w przedpokoju. Chciał po prostu pójść na stację, kupić butelkę wody i spróbować odezwać się do dziewczyny za ladą pełnym, spokojnym głosem. Bez żadnego podtekstu, po prostu sprawdzić, czy potrafi nie spuścić wzroku i znieść kontakt z obcym człowiekiem.

Zamiast tego zjechał kciukiem w dół ekranu, wczytując kolejne strony archiwalnej dyskusji.

Wpisy pod notatką Piotra ciągnęły się bez końca. Inni użytkownicy dodawali własne obliczenia, spierali się o decybele, mierzyli centymetry w barkach i kąt zuchwy, tworząc skomplikowane wykresy przyczyn i skutków. Żaden z nich nie opisał prawdziwego spotkania na ulicy. Wszyscy operowali na abstrakcyjnych modelach, które sami sobie narysowali, byle tylko usprawiedliwić własne trwanie w bezruchu.

Tomek wpatrywał się w litery i czuł, jak powoli uchodzi z niego resztką determinacji. Skoro ludzie, którzy poświęcili na to tyle lat, doszli do wniosku, że fizyczne parametry i tak zamykają sprawę w pierwszych pięciu sekundach, to jego wyjście po wodę nie miało najmniejszego sensu. Każdy krok został już dawno policzony, sklasyfikowany i uznany za z góry przegrany. Pojawiło się to samo znajome, uspokajające uczucie

rezygnacji: to nie była jego wina, to był system.

Tomek zrobił dokładnie to samo. Wyłączył telefon, położył się na plecach i pomyślał, że skoro tamci ludzie po ośmiu latach analiz nadal byli w tym samym miejscu, to dla niego też nie ma już nadziei.

Ciemność w pokoju gęstniała. Telefon leżał obok na poduszce, zimny i uśpiony. Z przedpokoju dobiegał tylko cichy, monotonny szum starej lodówki.

Obaj zrobili tę samą rzecz: uciekli w prognozowanie porażki, żeby nie poczuć krótkiego ukłucia odmowy.



Rzeczywistość i iluzja

ROZDZIAŁY 7 DO 12

Przystanek autobusowy w deszczu

Piotr, kwiecień 2010

Stał pod wiatą na placu Grunwaldzkim. Deszcz bębnił o plastikowy dach, monotonnie i gęsto, a woda spływała wąskimi strugami po pękniętej ścianie z pleksi. Było chłodno, znacznie chłodniej niż zazwyczaj o tej porze roku. Wilgoć wchodziła pod poły kurtki, a od jezdni bił ostry zapach mokrego asfaltu i spalin z ruszających aut.

Obok stała dziewczyna w zielonym płaszczu, trzymając w ręku mokrą parasolkę.

Miała może dwadzieścia dwa lata, jasne skórzane buty lekko zabrudzone od spodu ciemnym błotem i materiałową torbę przewieszoną przez ramię. Szpic jej parasolki dotykał betonowej płyty chodnika, a małe krople ściekały po czarnej tkaninie, tworząc u jej stóp ciemną plamę. Dziewczyna patrzyła w stronę osi jezdni, mrużąc oczy przed zacinającym deszczem, i co chwilę odgarniała mokre pasmo włosów przyklejające się do policzka.

Piotr czuł, jak jego serce bije w tempie stu dwudziestu uderzeń na minutę. Czuł ten tępy rytm w skroniach, pod krtanią, pod zapiętym kołnierzem. W głowie przelatywały mu schematy z rozdziału czwartego podręcznika.

Krok 1: Zauważ kontekst. (Mokra parasolka).

Krok 2: Powiedz coś niebanalnego. (Nie mów o pogodzie, to szablon).

Krok 3: Utrzymuj kontakt wzrokowy przez trzy sekundy.

Dłonie w kieszeniach miał zaciśnięte w twarde pięści. Przeczytał ten rozdział kilkanaście razy, znał na pamięć całe akapity o mowie ciała, o kącie ustawienia stóp i zachowaniu odpowiedniej odległości, która nie wywoła u kobiety poczucia zagrożenia. Stał pod kątem czterdziestu pięciu stopni, dokładnie tak, jak zalecał autor w podrozdziale o

przestrzeni publicznej. W teorii wszystko się zgadzało. Warunki były idealne. Wystarczyło zrobić jeden krok i otworzyć usta.

Przelknął ślinę. Usta miał całkowicie suche.

W myślach układał pierwsze zdanie. Coś o kolorze parasolki. Albo o tym, że ten deszcz nie skończy się przed wieczorem. Nie, to był szablon, a szablon natychmiast obniżał wartość w oczach rozmówcy. Lepiej było zacząć od neutralnego pytania, a potem płynnie przejść do obserwacji. Liczył w duchu sekundy: raz, dwa, trzy. Wiedział z poradników, że po przekroczeniu trzech sekund w ciele uruchamia się paraliżujący lęk. Minęło już co najmniej pół minuty. Czas uciekał, a on tkwił w bezruchu, wpatrując się w czarny materiał jej parasola.

Dziewczyna poprawiła torbę na ramieniu i zerknęła na tarczę zegarka.

Piotr wziął głęboki oddech, żeby opanować drżenie głosu. Otworzył usta, ale w tym samym momencie nadjechał autobus linii 145.

Wielki, czerwono-żółty pojazd wjechał w kałużę przy krawężniku z głośnym rozbryzgiem brudnej wody. Ciężki silnik zaryczał na niskich obrotach, a hamulce pneumatyczne syknęły z metalicznym zgrzytem, całkowicie tłumiąc szum deszczu. Dziewczyna natychmiast ruszyła z miejsca, otrzepując materiał parasolki. Wsiadła przednimi drzwiami.

Piotr został na przystanku.

Patrzył przez mokrą szybę, jak dziewczyna przeciska się między pasażerami i chwytą żółtą poręcz. Skrzydła drzwi zeszyły się z głuchym uderzeniem gumowych uszczeltek. Autobus szarpnął, wyrzucił w wilgotne powietrze obłok spalin i odjechał w stronę mostu.

Piotr stał pod wiatą jeszcze przez kwadrans, choć deszcz powoli ustawał. Patrzył na mokrą plamę na chodniku, która została w miejscu, gdzie przed chwilą stała.

Do wynajmowanego mieszkania wrócił tramwajem. W pokoju zdjął przemoczone buty, rzucił kurtkę na oparcie krzesła i usiadł do biurka, nie zapalając górnego światła. Pokój tonął w szarym półmroku

popołudnia.

W domu otworzył laptopa i napisał:

„Dzisiaj znowu to samo. Warunki były idealne ale hałas nadjeżdżającego autobusu uniemożliwił nawiązanie kontaktu w odpowiedniej ramie.”

Wysłał wpis do działu z raportami. Przez pół godziny wpatrywał się w jasny ekran, odświeżając widok co kilkadziesiąt sekund. Na liście pojawiały się nowe wątki od chłopaków z innych miast, spychając jego temat w dół tabeli.

Nikt mu nie odpisał. Wątek spadł na drugą stronę.

Raport, który powstał w głowie

Kamil, czerwiec 2012

Kamil siedział w kawiarni przy ulicy Półwiejskiej w Poznaniu. Naprzeciwko niego siedział chłopak z forum, który napisał do niego w wiadomości prywatnej z prośbą o „trening w terenie”. Za wielką szybą lokalu ciągnął się rozgrzany deptak. Przechodzili nim ludzie w letnich ubraniach, z lodami w dłoniach, zmierzający powoli w stronę Starego Browaru. W środku panował chłód klimatyzacji, pachniało mieloną kawą i ciastem marchewkowym, a kostki lodu w szklankach z wodą topniały, uderzając o szkło cichym brzękiem.

Chłopak miał może dwadzieścia lat, nieco za dużą koszulę z krótkim rękawem i czerwone plamy na szyi, które pojawiały się za każdym razem, gdy zaczynał mówić. Na forum używał pseudonimu, który brzmiał drapieżnie i pewnie, ale tutaj, przy stoliku, przedstawił się cichym głosem jako Bartek. Od kwadransa nerwowo miętosił papierową serwetkę, rwąc jej brzegi na wąskie, wilgotne paski.

- Widziałem twoje wpisy z zeszłego tygodnia powiedział młodszy chłopak, wpatrując się w Kamila z przejęciem. Jak ty to robisz, że nie czujesz w ogóle strachu?

Kamil poczuł, jak w żołądku wiąże mu się twardy supeł. Przez moment miał ochotę powiedzieć prawdę. Powiedzieć, że co noc wymiotuje ze stresu w klubowej toalecie, a jego raporty są zbiorem zmyślonych zdań.

Miał ochotę opisać mu poprzednią sobotę. Jak stał przez trzy godziny pod ścianą w dusznej sali na Starym Rynku, ściskając w dłoni szklankę z rozwodnionym piwem, na które wydał ostatnie pieniądze. Jak unikał wzroku kogokolwiek, panicznie bojąc się, że ktoś zapyta, na kogo czeka. Jak co kilkanaście minut wychodził na zewnątrz, udając, że odbiera ważny telefon, tylko po to, żeby nie stać beczynnym w tłumie bawiących się ludzi. Mógłby mu powiedzieć o tym, jak wracał nocnym autobusem z

zaciśniętymi zębami i mdłościami, a potem do świtu siedział przed monitorem w wynajmowanym pokoju, stukając w klawiaturę.

Na ekranie wszystko stawało się proste. W sieci tworzył postać, która nie miała nic wspólnego z jego codziennym strachem. Wymyślał cięte riposty, które nigdy nie padły, opisywał spojrzenia dziewczyn, które w rzeczywistości nawet go nie zauważyły, i dopisywał sukcesy tam, gdzie było tylko upokorzenie i ucieczka. Im więcej zbierał pochwał od anonimowych użytkowników, tym ciężiej było mu rano spojrzeć w lustro w łazience.

Bartek nachylił się nad stolikiem, przysuwając bliżej swój porysowany telefon.

- Bo ja wczoraj znowu stchórzyłem wyznał chłopak, a w jego oczach widać było autentyczną bezradność. Podszedłem na przystanku do dziewczyny, stałem obok niej i powtarzałem sobie w głowie pierwsze zdanie. Ale kiedy spojrzała w moją stronę, po prostu sparaliżowało mi gardło. Odszedłem bez słowa. Wróciłem do domu i czułem się jak śmieć. Jak mam to przełamać?

Kamil patrzył na jego drżące ręce i widział samego siebie sprzed kilku lat. Tego samego zagubionego chłopaka, który uwierzył, że relacje między ludźmi to gra logiczna, zbiór reguł i algorytmów, które wystarczy wykuć na pamięć. Poczuł impuls, żeby złapać go za ramię, kazać mu skasować konto na forum, wyjść na słońce i zacząć po prostu normalnie rozmawiać z ludźmi. Ale milczał. Przyznanie się do prawdy zniszczyłoby jedyną rzecz, która dawała mu poczucie jakiegokolwiek wartości: fałszywy autorytet w oczach kogoś jeszcze bardziej bezradnego niż on sam.

Zamiast tego poprawił zegarek na nadgarstku, uśmiechnął się sztucznie i powiedział:

- To kwestia nastawienia. Po prostu wchodzisz i bierzesz to, co twoje.
- I nic więcej? zapytał Bartek z dziecięcą wiarą.
- Nic dodał Kamil, a w jego głosie nie było słychać ani grama wahania. Wyłączasz analizowanie. Liczy się tylko zdecydowanie.

Młodszy chłopak pokiwał głową z zachwytem i zapisał to w telefonie.
Kamil poczuł wstręt. Nie do chłopaka. Do samego siebie.

Przeprowadzka koleżanki

Marek, wrzesień 2014

Marek prznosił kartony z czwartego piętra bez windy. Karolina zmieniała mieszkanie po kolejnym rozstaniu z Olkiem.

Klatka schodowa w starej kamienicy pachniała wilgocią, kurzem i schnącą farbą olejną. Stopnie były wysokie, nierówne, z wytartymi krawędziami z piaskowca. Pudełka z grubego kartonu, zaklejone na krzyż szarą taśmą pakową, nie miały żadnych uchwytów. Tektura wrzynała się w palce, a ostre rogi obijały uda i żebra przy każdym obrocie na ciasnych półpiętrach.

Marek miał skręcony nadgarstek i brudne od kurzu spodnie. Prawy staw rwał tępy ból już od południa, kiedy we dwóch wciągali pralkę po wąskich schodach. Kolega Karoliny, który pomagał przy sprzęcie AGD, zaraz potem wsiadł w samochód i odjechał, tłumacząc się pilnymi sprawami. Dwaj inni znajomi z jej biura zniknęli przed osiemnastą, gdy tylko skończyło się noszenie lekkich toreb z ubraniami i roślin w doniczkach. Marek został sam.

Kupował pizzę dla jej znajomych, nosił ciężkie szafki i montował żyrandol.

Pizzę zamówił z lokalu na rogu, trzy duże placki z szynką i pieczarkami. Zapłacił gotówką dostawcy przy bramie, rozdał papierowe talerzyki i sam zjadł tylko jeden zimny kawałek na stojąco, bo w tym samym czasie Karolina prosiła go o skręcenie stelaża łóżka. Potem wnosił szafki kuchenne. Dolne segmenty z litej płyty wiórowej ważyły swoje; szuflady wysuwały się z hukiem na zakrętach, blokując przejście i uderzając o żeliwną balustradę. Pył ze starych mebli osiadał na spoconym karku, lepił się do ramion i brudził dzinsy na kolanach, gdzie ciemny materiał przetarł się od klęczenia na surowym betonie.

Żyrandol w pokoju dziennym wymagał podłączenia do starej, kruszącej się instalacji. Marek stał na chybotałej drabinie z rękami uniesionymi nad głowę, trzymając w zębach małą latarkę. Ramiona drętwiały mu po kilku minutach, a ze stropu syłał się drobny, wapienny tynk prosto w oczy. Kiedy wreszcie dokręcił kostkę i włączył bezpiecznik w przedpokoju, całe puste pomieszczenie zalało surowe, żółte światło trzech żarówek.

Karolina poprosiła go jeszcze o zamek do piwnicy. Zszedł do wilgotnego korytarza pod budynkiem, sprawdził stary skobel, po czym wyszedł na ulicę i poszedł do punktu dorabiania kluczy dwa budynki dalej. Mosiężny klucz kosztował dwadzieścia złotych. Zapłacił ze swoich, chowając resztę do kieszeni.

O dwudziestej pierwszej Karolina usiadła na rozłożonym materacu z kieliszkiem wina.

W pokoju panował półmrok, bo zgasła górne lampy i włączyła tylko małą lampkę biurkową postawioną bezpośrednio na podłodze. Wszędzie wokół piętrzyły się nierozpakowane pudła, czarne worki na śmieci i zrolowany dywan. Powietrze pachniało tekturą, kurzem i zmęczeniem. Karolina siedziała po turecku, z podciągniętymi rękawami wełnianego swetra, obracając w dłoniach napelniony do połowy kieliszek.

- Marek, nie wiem co bym bez ciebie zrobiła. Jesteś jedynym stabilnym mężczyzną w moim życiu.

Jej głos był cichy, miękki, lekko ochrypły od całego dnia. Spojrzała na niego z ciepłą wdzięcznością, którą znał aż za dobrze z minionych kilku lat, za każdym razem, gdy Olek pakował walizki i trząsał drzwiami.

Marek poczuł, że to jest ten moment. Krok po kroku, tak jak radzili na forum w nowszych wątkach o przełamywaniu barier. Pamiętał te wszystkie schematy czytane po nocach na monitorze: jeśli kobieta okazuje słabość, jeśli dziękuje za ratunek i zostaje z tobą sam na sam w pustym pokoju, należy natychmiast domknąć dystans fizyczny. Autorzy wątków powtarzali, że każda sekunda wahania jest błędem, który spycha

faceta w bezpieczną, bezpłciową strefę.

Usiadł obok niej i położył dłoń na jej ramieniu.

Materac ugiął się powoli pod jego ciężarem. Czuł ciepło jej ciała i szorstką wełnę swetra pod palcami.

Karolina drgnęła. Spojrzała na jego dłoń z lekkim zdziwieniem, po czym delikatnie się odsunęła. Jej ramiona natychmiast zeszytywniały, a twarz zamknęła się w ułamku sekundy, jakby nagle zgasło w niej całe wcześniejsze ciepło.

- Marek, prosiłam cię... nie psujmy naszej przyjaźni. Ty jesteś dla mnie kimś więcej niż partnerem. Jesteś jak rodzina.

W mieszkaniu zrobiło się zupełnie cicho. Słyszać było tylko monotony pomruk starej lodówki w aneksie kuchennym i stłumiony szum samochodów z ulicy cztery piętra niżej.

Marek wstał. Nie powiedział ani słowa. Wyszedł z mieszkania, zostawiając na stole klucze do piwnicy, które przed chwilą dorobił za własne pieniądze.

Komentarz do starego wątku

Tomek, marzec 2017

Tomek zalogował się na forum o trzeciej w nocy.

W pokoju panował półmrok, rozpraszany jedynie przez chłodne, niebieskawe światło laptopa. Na biurku stał niedopity kubek z wystygłą herbatą, obok leżały klucze do mieszkania i telefon z wygaszonym ekranem. Kaloryfer pod oknem pykał cicho co kilkanaście sekund, a zza szyby na czwartym piętrze dobiegał stłumiony szum nielicznych samochodów jeżdżących po mokrym asfalcie.

Nie wchodził pod ten adres od wielu miesięcy. Przeglądarka wciąż pamiętała login i hasło, zapisane jeszcze na starym dysku, ale sam portal ładował się powoli, jakby serwery ledwo radziły sobie z utrzymaniem bazy danych sprzed dekady. Układ graficzny wyglądał archaicznie i obco. Ciemnoszary nagłówek, wąskie kolumny tabel, małe ikony kopert oznaczające nieprzeczytane wiadomości, których nikt już nie wysyłał. Większość linków w stopce prowadziła do stron, które dawno przestały istnieć, a reklamy w nagłówku zastąpiły puste, białe ramki z błędami wczytywania.

Wpisał w wyszukiwarkę nick, który kiedyś znali wszyscy stali bywalcy.

Przeglądał profil użytkownika *Analityk_87*.

Zdjęcie profilowe było czarnym kwadratem o wymiarach sto na sto pikseli. Licznik postów zatrzymał się na tysiącu ośmiuset czterdziestu dwóch. Punkty reputacji, ranga weterana, krótki cytat w podpisie z amerykańskiej książki o psychologii ewolucyjnej, który kiedyś wydawał się Tomkowi szczytem życiowej mądrości. Ostatnia aktywność sprzed prawie pięciu lat.

Tomek pamiętał tamte wpisy. Analityk potrafił rozłożyć zwykłą rozmowę w kawiarni na kilkanaście precyzyjnych podpunktów. Rysował schematy

w plikach tekstowych, wyliczał czas reakcji na wiadomości z dokładnością do minuty, analizował każde spojrzenie, jakby ludzkie odruchy były skomplikowanym kodem, który wystarczy dobrze opisać, żeby przestał boleć i przestał przerażać. Kiedy Tomek miał dwadzieścia lat, czytał to wszystko po nocach z wypiekami na twarzy, notując wnioski w zeszycie w kratkę. Wtedy wydawało się, że tamci starsi użytkownicy posiadli tajemną wiedzę, że mają kontrolę nad światem i nad sobą, podczas gdy cała reszta ludzi błądzi po omacku.

Teraz przewijał historię wątków. Z biegiem lat wpisy Analityka stawały się coraz krótsze i bardziej zniecierpliwione. Mniej było w nich drobiazgowej teorii, więcej znużenia i rozczarowania. Potem nastąpiła długa przerwa trwająca kilka miesięcy, jeden lakoniczny wpis o bezsenności i braku energii, a po nim zupełna pustka. Żadnego pożegnania, żadnego podsumowania, żadnej wiadomości do znajomych z forum.

Tomek odnalazł pierwszy temat, który Analityk założył w dziale dla początkujących użytkowników. Dotyczył paraliżującego strachu przed podejściem do obcej dziewczyny na przystanku tramwajowym.

Wstukał odpowiedź w starym wątku sprzed dziewięciu lat:

„Czy ktoś wie co się stało z tym człowiekiem? Czy on z tego wyszedł czy po prostu dał sobie spokój?”

Dźwięk uderzeń w klawiaturę brzmiał głośno w pustym pokoju. Palce zawisły w powietrzu. Przez dłuższą chwilę patrzył na własne słowa widoczne w białym polu edytora tekstu. Cursor mrugał miarowo, odmierzając sekundy w cichym mieszkaniu. Obok okna wpisu widniały stare emotikony w niskiej rozdzielczości, których nikt w internecie już nie używał. Kliknął szary przycisk z napisem „Wyślij”.

Strona przeładowała się z lekkim opóźnieniem, mrugając białym tłem.

System wyświetlił komunikat: *Wątek jest starszy niż 365 dni. Pisanie w nim zostało zablokowane przez administratora.*

Tomek patrzył na czerwony napis na ekranie.

Litery były drobne, ostro odcinające się od szarego tła tabeli. Żadnego formularza odwoławczego, żadnego kontaktu do moderatora, żadnej możliwości dopisania choćby jednego zdania. Forum stało się martwym archiwum, wielkim cmentarzyskiem postów, w którym setki tysięcy wypowiedzi wisiały jak porzucone meble w dawno opuszczonym bloku. Ci wszyscy chłopcy i mężczyźni, którzy spędzali tu całe noce, spierając się o znaczenie pojedynczego gestu, tonu głosu czy ułamka sekundy wahania, po prostu zniknęli bez śladu.

Tomek oparł głowę na dłoni i spojrzał w ciemne okno, w którym odbijała się jego własna twarz. Zdał sobie sprawę, że odpowiedź nigdy nie nadejdzie. Ludzie z pierwszych stron forum rozplynęli się w przestrzeni, założyli rodziny, zmienili pracę albo utknęli w ciszy, o której nikt już nie pisał wpisów.

Złot w stolicy

Piotr i Kamil, maj 2012

Spotkali się w małej restauracji przy dworcu Centralnym w Warszawie. Lokal mieścił się w suterenie, pachniał przypalonym tłuszczem z frytkownicy i rozlanym piwem, a przez wąskie okna pod sufitem widać było tylko buty przechodniów na mokrym chodniku. Na złot użytkowników forum przyszło osiem osób. Wszyscy byli mężczyznami przed trzydziestką, w wyprasowanych w pośpiechu koszulach, ze zbyt świeżo ogolonymi twarzami i niepewnymi spojrzeniami, które uciekały w stronę schodów za każdym razem, gdy otwierały się drzwi z ulicy.

Piotr poznał Kamila po czarnej koszuli i zdecydowanym tonie głosu, który brzmiał zbyt głośno w stosunku do małego lokalu. Kamil siedział na środkułączonych stołów, rozparty na drewnianym krześle z szeroko rozstawionymi łokciami, jakby zajmował przestrzeń należącą do kilku ludzi naraz. Miał podwinięte rękawy, tani zegarek udający drogą markę i starannie ułożone włosy. Gdy mówił, gestykulował otwartymi dłońmi, a jego wzrok przeskakiwał z jednego rozmówcy na drugiego, dokładnie tak, jak zalecano w internetowych poradnikach o dominacji w grupie.

Siedzieli przy jednym stole przez trzy godziny. Kelnerka przynosiła kolejne kufle z jasnym piwem, które zostawiała na blacie lepkie, okrągłe ślady. Kamil opowiadał o swoich sukcesach w Poznaniu, przeplatając zdania angielskimi zwrotami. Mówił o klubach przy Starym Rynku, o dziewczynach zagadywanych w kolejce do baru i o technikach przełamywania oporu.

- Chodzi wyłącznie o stan umysłu powtarzał z naciskiem, stukając obręczką sygnetu w stół. Wchodzisz do lokalu i natychmiast budujesz social proof. Kobiety wyczuwają to podświadomie w ułamku sekundy. Jeżeli masz odpowiedni mindset, nikt nie jest w stanie cię zignorować.

Dwaj młodszy chłopcy z końca stołu słuchali go z nabożnym skupieniem, notując w pamięci każde słowo. Jeden z nich, student politechniki w za dużym swetrze, co chwilę nerwowo poprawiał oprawki okularów.

Piotr słuchał w milczeniu, zadając od czasu do czasu precyzyjne pytania o parametry i liczby.

- Ile podejść robisz średnio w ciągu jednego wieczoru? zapytał spokojnie, opierając podbródek na splecionych dłoniach.
- Piętnaście, czasem dwadzieścia odpowiedział Kamil bez wahania.
- Jaki masz odsetek pozytywnych reakcji przy otwarciu rozmowy?
- Ponad połowa. Wszystko zależy od właściwej kalibracji.
- A ile z tych numerów telefonu odpowiada na wiadomość wysłaną następnego dnia?

Kamil na ułamek sekundy zawiesił głos. Sięgnął po szklanę, upił duży łyk piany, po czym wzruszył ramionami.

- Około trzydziestu procent. To czysta statystyka, Piotr. Liczy się przede wszystkim wolumen.

Piotr skinął głową, ale w myślach zestawiał te deklaracje z danymi, które od miesięcy gromadził w swoich notatkach. Liczby Kamila nie trzymały się całości. Były sztucznie zawyżone, wygładzone i pozbawione naturalnych odchyłeń, które zawsze pojawiały się przy rzeczywistych próbach.

Około dziesiątej wieczorem dwaj uczestnicy z podwarszawskich miejscowości musieli wyjść na ostatni pociąg podmiejski. Kolejni dwaj pożegnali się krótko po nich, tłumacząc się rannym wstawaniem do pracy. Przy stole zostało już tylko puste szkło, pomięte serwetki i popielniczka pełna wypalonych filtrów.

W pewnym momencie obaj spojrzeli na siebie w milczeniu.

Gwar w lokalu na chwilę przycichł, a z wysłużonego głośnika nad barem sączyła się monotonna audycja radiowa. Piotr zobaczył w oczach Kamila przerażenie człowieka, który co noc gra rolę przed obcymi. Zauważył

drobne drżenie kącika ust, które pojawiało się za każdym razem, gdy zapadała cisza, i cienką warstwę potu na jego czole, lśniącą w żółtym świetle kinkietu. Pod czarną koszulą i wyuczoną pewnością siebie kryło się wycieńczenie kogoś, kto każde wyjście z mieszkania traktował jak walkę o przetrwanie. Kamil zobaczył w Piotrze człowieka, który umrze w pokoju pełnym podręczników. Dostrzegł znoszony kołnierzyk jego koszulki, zapadniętą klatkę piersiową i chłodny, martwy wzrok kogoś, kto potrafił rozłożyć ludzkie emocje na ciągi liczb, ale nie potrafiłby odezwać się do drugiego człowieka bez przygotowanego wcześniej scenariusza.

Żaden z nich nie powiedział tego na głos. Zamówili kolejne piwo i rozmawiali o teoriach ramy do pierwszej w nocy.

Pęknięcie ramy

Marek i Kamil, listopad 2015

Marek wrócił do wynajmowanego pokoju przed północą. W przedpokoju nie zapalał światła, żeby nie obudzić współlokatora. Zdjął wilgotną od deszczu kurtkę, powiesił ją na oparciu krzesła i usiadł przy biurku w samych skarpetkach. W pokoju pachniało chłodem z rozszczelnionego okna i starym dywanem. Nie czuł głodu, chociaż od obiadu zjadł tylko dwa herbatniki, którymi poczęstowała go Karolina, kiedy wreszcie skończył składać dla niej szafkę.

Spędził u niej cztery godziny. Siedział na wąskim stolku w kuchni, pił wystygłą herbatę z wyszczerbionego kubka i słuchał. Mówiła o pracy, o wiecznym zmęczeniu, o matce, która znowu dzwoniła z pretensjami. Kiedy zapłakała przy kuchennym zlewie, dotknął jej ramienia dokładnie tak, jak wyczytał w poradnikach - ostrożnie, na dwie sekundy, bez nacisku. Karolina odsunęła się wtedy po ręcznik papierowy, a on uznał to za naturalny odruch. Przez cały wieczór ani razu nie wspomniała o Olku. Dla Marka to był wyraźny znak postępu.

Otworzył laptopa. Matryca rozświetliła ciemny pokój chłodnym, niebieskim światłem. Zalogował się na forum i odszukał profil Kamila. Marek napisał prywatną wiadomość do Kamila po powrocie z kolejnego spotkania z Karoliną.

„Pomogłem jej znowu. Przez 4 godziny słuchałem o jej problemach. Wydaje mi się że robię postępy bo nie mówiła już o byłym.”

Wysłał wiadomość i oparł brodę na dłoniach, wpatrując się w migający kursor.

Kamil odczytał tę wiadomość w Poznaniu. Siedział w kawalerce przy kuchennym blacie, na którym stał kubek z fusami po kawie i pusta

puszka. Za oknem, w żółtym świetle latarni, zaczął mokry śnieg z deszczem. Był po ciężkim tygodniu, w którym skasował swoje konto na forum pod starym nickiem i założył nowe, żeby nikt nie widział jego dawnych wpisów.

Przez lata napisał w sieci setki postów. Rozbierał cudze i własne rozmowy na części pierwsze, układał schematy zachowań, analizował gesty i sekundy milczenia, jakby drugi człowiek był mechanizmem, który da się zaprogramować kilkoma ruchami. W miniony wtorek otworzył swoje najstarsze wpisy. Przeczytał kilkanaście stron pełnych sztucznej pewności siebie i poczuł fizyczny wstyd. Skasował profil bez wahania, ale po dwóch dniach cisza w mieszkaniu okazała się nie do zniesienia i zarejestrował się ponownie, jako anonimowy użytkownik bez rangi i bez historii.

Wiadomość od Marka czekała w skrzynce. Kamil przeczytał ją dwukrotnie. Znał ten ton aż za dobrze. Każde słowo Marka było dokładnym odbiciem jego własnych złudzeń sprzed lat, tego samego siedzenia na cudzych taboretach, naprawiania kranów, robienia przysług i czekania, aż ktoś wreszcie spojrzy z wdzięcznością, która przerodzi się w coś więcej. Poczul złość, ale nie na Marka. Czuł wściekłość na całe to kłamstwo, którym karmili się nawzajem. Nie miał ochoty tłumaczyć mu teorii, analizować błędów ani dodawać otuchy.

Odpisał Markowi krótko:

„Stary. Ona cię nie chce i nigdy nie chciała. Jesteś darmowym serwisem i słuchawką do płaczu. Przestań tam jeździć bo robisz z siebie pośmiewisko przed samym sobą.”

Wysłał odpowiedź, zamknął komputer i wstał od stołu. W mieszkaniu było cicho, słychać było tylko szum wody w rurach.

Marek usłyszał cichy dźwięk nowego powiadomienia w przeglądarce. Odświeżył skrzynkę odbiorczą.

Marek przeczytał tę wiadomość pięć razy. Pierwszy raz ktoś na tym forum odpowiedział mu bez używania regulek i bez pocieszania.

Czarne litery na jasnym tle nie układały się w żaden znany schemat. Siedział nieruchomo, a krew pulsowała mu w skroniach. Nikt nie proponował mu nowej taktyki, nikt nie kazał odczekać kilku dni ani udawać obojętności. Spojrzał na swoje dłonie, na palcu wciąż miał świeże zadrapanie od ostrej krawędzi płyty meblowej, którą składał dla Karoliny. Przypomnił sobie, jak podała mu kurtkę zaraz po tym, gdy dokręcił ostatnią śrubę, i jak szybko przekręciła zamek w drzwiach, gdy tylko wyszedł na klatkę schodową.

To była najtrudniejsza wiadomość, jaką przeczytał w życiu. I pierwsza, która była prawdziwa.



Pożegnanie z forum

ROZDZIAŁY 13 DO 18

Ostatni wpis o genetyce

Piotr, grudzień 2012

Piotr siedział w swoim pokoju we Wrocławiu. Miał dwadzieścia pięć lat. Za oknem sypał gęsty, mokry śnieg. Wielkie, ciężkie płatki uderzały o szybę, topniały i spływały w dół wąskimi, brudnymi strużkami. Na parapecie zbierała się szara breja. Żebrowany, żeliwny kaloryfer pod oknem pykał miarowo, oddając suche, duszne ciepło.

W pokoju panował półmrok. Świeciła tylko mała lampka biurkowa i prostokątny ekran laptopa. Obok klawiatury stał gruby kubek z niedopitą, zimną herbatą, na której powierzchni utworzył się ciemny kożuch. Wokół leżały kserówki z politechniki, stary zeszyt w kratkę ze zniszczoną okładką i paragony ze stacji benzynowej.

Na ekranie była otwarta strona internetowa z ciemnym tłem. Znał ten adres lepiej niż jakikolwiek inny. Spędził na tym forum cztery zimy i cztery lata swojego życia. Zaczynał jako wystraszony chłopak na pierwszym roku studiów, który bał się odezwać do dziewczyny w tramwaju i szukał w sieci instrukcji obsługi świata. Przeczytał tysiące wątków, analizował setki cudzych relacji i uczył się na pamięć skomplikowanych teorii o hierarchii, spojrzeniach, tonacji głosu i kontrolowaniu dystansu. Przez lata wierzył, że jeśli tylko opanuje odpowiedni zestaw reguł, zdoła zabezpieczyć się przed upokorzeniem i odrzuceniem. Każde wyjście z domu zamieniał w ćwiczenie, a każde spotkanie w pole obserwacji.

Teraz kursor pulsował w pustym, białym oknie edytora wiadomości.

Otworzył edytor i napisał swój ostatni post:

„Po 4 latach na tym forum dochodzę do wniosku że cała ta teoria nie ma znaczenia jeśli nie potrafisz znieść faktu że ktoś może cię nie chcieć. Żadne pojęcia z angielskiego tego nie zmieniają. Zamykam konto.”

Nie czytał tych zdań drugi raz. Nie sprawdzał, jak brzmią, ani nie zastanawiał się nad ich wydźwiękiem. Nie czekał na komentarze. Wiedział dokładnie, co by odpisali - że pękł, że zabrakło mu dyscypliny, że dał się pokonać własnym słabościom. Znał te odpowiedzi na pamięć, bo sam pisał je innym przez dziesiątki miesięcy.

Przesunął kursor w prawy górny róg strony, otworzył zakładkę profilu i zjechał suwakiem na sam dół, pod listę zapisanych wątków i licznik wysłanych wiadomości. Kliknął przycisk usunięcia profilu.

System wyświetlił standardowe okienko z prośbą o potwierdzenie decyzji. Nacisnął enter.

Ekran odświeżył się i pokazał stronę główną forum. W miejscu jego nazwy użytkownika pojawił się szary napis: *Konto usunięte*.

Wiatrak w obudowie komputera powoli cichł, aż wreszcie w pokoju zostało tylko głuche echo miasta zza ściany. Piotr zamknął klapę laptopa. Plastik trzasnął cicho w ciemności.

Piotr wyszedł z pokoju, założył buty i poszedł do osiedlowego sklepu po chleb.

W przedpokoju naciągnął wysłużoną kurtkę z kapturem. Czuć było od niej wilgocia z poprzedniego dnia. Zszedł po stromych, drewnianych schodach kamienicy. Na klatce pachniało starą piwnicą i obiadem gotowanym u sąsiadów z pierwszego piętra. Pchnął masywne drzwi wejściowe z matową szybą i wyszedł na ulicę.

Chodnik był śliski, pokryty grubą warstwą rozdeptanego błota pośniegowego. Latarnie świeciły mętnym, pomarańczowym światłem, odbijając się w kałużach. Minął kobietę z psem, który nerwowo

obwąchiwał koło zaparkowanego auta, i starszego mężczyznę niosącego siatkę z zakupami.

W małym, osiedlowym sklepie było jasno i ciepło. Przy wejściu stał karton z rozmoczonymi gazetami, na którym klienci wycierali buty. Piotr podszedł do lady chłodniczej.

- Dobry wieczór. Poproszę chleb krojony powiedział.
- Zwykły czy graham? zapytała ekspedientka, nie podnosząc wzroku znad kasy.
- Zwykły.

Podał odliczone drobne. Monety zadzwoniły o blat. Odebrał bochenek w cienkiej folii, jeszcze letni od spodu, i schował go pod pachę.

Wyszedł na zewnątrz. Śnieg wciąż sypał, opadając na ramiona i topniejąc na kołnierzu kurtki.

Nie rozmawiał z nikim po drodze. Ale po raz pierwszy od czterech lat nie analizował tempa swoich kroków.

Skasowany post

Kamil, sierpień 2015

Powietrze w pokoju było gęste i ciepłe, nagrzane przez cały upalny dzień. Przez uchylone okno dochodził stłumiony szum nocnego tramwaju i pojedyncze głosy ludzi wracających z centrum miasta. Kamil siedział przy biurku w samych spodenkach, zgarbiony nad klawiaturą. Na matrycy starego laptopa świeciło się białe pole edytora tekstu na ciemnym tle strony. Kursor mrugał miarowo, czekając na kolejną linijkę.

Kamil pisał od dwóch godzin. Nie kasował zdań, nie cofał kursora, nie dobierał słów tak, żeby brzmiały sprytnie i gładko. Kamil napisał szczery, długi wpis, w którym przyznał się do zmyślania raportów przez cztery lata.

Zaczął od pierwszych wieczorów, kiedy stał na rogach ulic z zaciśniętym gardłem i wracał do wynajmowanego pokoju, by w ciemności stukać w klawisze o rzekomych sukcesach. Opisał noc w Poznaniu, kiedy przesiedział trzy godziny na drewnianej ławce przy przystanku, patrząc na przechodzące dziewczyny i nie potrafiąc wykrztusić ani jednego słowa. Opisał ucieczki przed rozmową, nagle zwroty na pięcie w połowie chodnika, udawanie, że dzwoni telefon, i chowanie się w bramach kamienic przed wzrokiem obcych ludzi. Opisał potworny wstyd, który towarzyszył mu po każdym wpisie, gdy rano czytał gratulacje od mężczyzn z całego kraju, a w żołądku czuł ciężki, zimny skurecz.

W tekście nie było usprawiedliwień ani wielkich teorii. Były tylko suche fakty: puste wieczory, zmyślone numery telefonów, powymyślane dialogi i samotność, która po każdym opublikowanym kłamstwie stawała się jeszcze głębsza.

Kiedy postawił ostatnią kropkę, przez dłuższą chwilę patrzył na suwak przewijania. Wpis zajmował kilka ekranów. Zjechał na sam dół strony i

kliknął szary przycisk z napisem *Wyślij*.

Strona przeładowała się z cichym szmerem wentylatora. Nowy wątek pojawił się na samej górze listy tematów. Tytuł był prosty, pozbawiony forumowych haseł i liczb.

Post wisiał na forum przez czterdzieści minut. Otrzymał dwa komentarze.

Przez ten czas Kamil nie odchodził od biurka. Patrzył na zegar w prawym dolnym rogu ekranu. Minuty mijały powoli: dwudziesta trzecia dwanaście, dwudziesta trzecia dwadzieścia pięć, dwudziesta trzecia czterdzieści. Licznik wyświetleń pod tytułem rósł miarowo. Dwadzieścia odsłon, czterdzieści pięć, dziewięćdziesiąt. Nikt nic nie pisał. Zwykle pod nowymi historiami pierwsze entuzjastyczne odpowiedzi pojawiały się po paru minutach. Tutaj panowała absolutna cisza.

W końcu strona odświeżyła się automatycznie.

Pierwszy komentarz zostawił użytkownik, który na forum miał status weterana i tysiące wpisów na koncie:

„Co ty gadasz stary, załamka cię dopadła? Weź się w garść i nie psuj ramy innym.”

Drugi wpis, dwie linijki niżej, napisał ktoś ze świeżym kontem. Pytał krótko, czy to prowokacja i czy Kamilowi ktoś ukradł hasło, bo przecież nikt normalny nie marnowałby tylu lat na pisanie bajek.

Kamil patrzył na te komentarze z zimnym spokojem.

Nie poczuł złości ani żalu. W pokoju było cicho, za oknem ucichły już nocne tramwaje. Patrzył na te dwa wpisy i nagle wszystko stało się dla niego zupełnie proste. Zrozumiał, że to forum nie szukało prawdy. Szukało narkotyku potwierdzającego, że iluzja działa. Każdy z tych mężczyzn potrzebował cudzych zmyślonych sukcesów, żeby móc dalej wierzyć we własne, żeby nie musieć przyznać przed samym sobą, że w każdy wolny wieczór stoi na ulicy sam, sparaliżowany lękiem. Jego

szczerść nie była dla nich żadną pomocą. Była zagrożeniem, pęknięciem w murze, który wszyscy wspólnie budowali z fikcji i obietnic.

Przesunął kursor myszy w prawy górny róg swojego wpisu. Nad polem tekstu znajdowały się małe odnośniki akcji.

Kliknął *Usuń post*.

System zapytał jeszcze w małym oknie dialogowym, czy na pewno chce bezpowrotnie skasować ten wątek. Nacisnął potwierdzenie. Ekran mrugnął na ułamek sekundy i wątek zniknął ze strony głównej, jakby nigdy nie istniał.

Potem wyczyścił pamięć podręczną przeglądarki i zamknął laptopa.

Pierwsze „Nie”

Marek, marzec 2016

Woda w czajniku dopiero zaczynała szumieć, podchodząc drobnymi pęcherzykami pod stalową pokrywkę. W małej, wąskiej kuchni unosił się ciepki, gęsty zapach ciemno palonych ziaren, które przed chwilą zmielił w ręcznym żarnowym młynku. Za oknem, z wysokości czwartego piętra starej kamienicy, niedzielny poranek wyglądał na senny i chłodny. Na jezdni stały rzędy przykurzonych samochodów, a chodnikiem po drugiej stronie ulicy szedł powoli starszy mężczyzna w ortalionowej kurtce, prowadząc na smyczy kundla.

Telefon leżał na laminowanym blacie, tuż obok ceramicznego drippera i grubego kubka. Kiedy ekran rozblysnął białym światłem i obudowa zaczęła wibrować z suchym, rytmicznym stukotem o blat, Marek nie musiał nawet sprawdzać nazwiska. Znał ten schemat na pamięć.

Karolina zadzwoniła w niedzielę o dziesiątej rano.

Jeszcze rok temu, a nawet kilka miesięcy wcześniej, odebrałby po pierwszym sygnale. Wytarłby dłonie w ścierkę, odsunął niedopitą kawę, zgasił palnik i w nerwowym pośpiechu szukałby kluczyków na szafce w przedpokoju, żeby tylko nie dać jej powodu do zniecierpliwienia. Jeździłby na drugi koniec miasta w deszczu, w śniegu, w środku nocy, udając przed samym sobą, że i tak miał tam coś do załatwienia. Przez lata gromadził w głowie setki wyuczonych reguł, skomplikowanych teorii o ludzkich zachowaniach i gotowych scenariuszy, którymi próbował zasłużyć na czyjąś obecność. Zawsze sprowadzało się to do tego samego: był na każde zawołanie.

Czekał, aż telefon zadzwoni po raz trzeci. Dopiero wtedy podniósł aparat i przesunął palcem po ekranie.

- Marek, potrzebuję żebyś podrzucił mnie do auto-serwisu na drugim końcu miasta.

W jej głosie nie było ani powitania, ani pytania, czy ma czas. Był tylko ten sam co zawsze, chłodny pośpiech i szelest torebki przerzucanej z ramienia na ramię, zmieszany z brzękiem kluczy w tle. Mówiła tak, jakby sprawa była już dawno ustalona, a on stanowił po prostu darmową usługę transportową, która czeka w gotowości pod telefonem.

Marek stał w kuchni i parzył kawę. Przez pięć sekund panowała cisza.

Słyszał jej równy oddech w słuchawce i metaliczne, suche tykanie ściennego zegara nad lodówką. Woda w czajniku zagotowała się i gwizdek zaczął cicho drzeć, więc wyłączył gaz lewą ręką. Poczuł, jak żołądek zaciska mu się w twarde, bolesny supeł, a gardło wysycha. Całe jego ciało, wytrenowane w unikaniu konfliktów i kupowaniu cudzej sympatii za wszelką cenę, domagało się starej, bezpiecznej odpowiedzi. Wystarczyło powiedzieć: zaraz będę.

Zamiast tego wziął głęboki oddech.

- Nie podrzucę cię dzisiaj, Karolina powiedział spokojnym, czystym głosem.

Cisza po drugiej stronie trwała dłużej niż zazwyczaj. Słyszać było tylko szum wiatru w jej telefonie.

- Co? Dlaczego? Przecież niedziela jest, chyba nie pracujesz?
- Mam inne plany na dzisiejszy dzień.
- Jakie plany? w jej głosie natychmiast pojawiła się ostra, cienka irytacja, odruchowe oburzenie kogoś, komu nagle odmówiło posłuszeństwa znane i przewidywalne narzędzie. Przecież to zajmie ci najwyżej pół godziny. Mój samochód stoi u mechanika na Pradze od piątku, muszę go odebrać przed południem, a autobusami będę tłuc się przez całe miasto półtorej godziny.

Marek nie zaczął się tłumaczyć. Nie zmyślał nagłej awarii rury, nie zasłaniał się grypą ani wizytą u chorej matki. Trzymał słuchawkę przy uchu, patrząc prosto na białe kafelki nad zlewem, i milczał.

- Ale Marek, ja na ciebie liczyłam. Co się z tobą dzieje od jakiegoś czasu?
- Nic. Po prostu nie przyjadę. Cześć.

Rozłączył się.

Dotknął czerwonej ikony na ekranie, wygasił wyświetlacz i odłożył telefon daleko od krawędzi blatu. Ręce mu drżały, a serce waliło jak oszalałe, uderzając o żebra tak mocno, że słyszał własne tętno w uszach. Mięśnie karku miał sztywne jak z drewna. Przez kilkanaście sekund stał bez ruchu, wpatrując się w czarną taflę smartfona, jakby za chwilę miała nastąpić jakaś niewidzialna eksplozja, kara albo ostateczna katastrofa.

Nic się nie wydarzyło. W kuchni było zupełnie cicho.

Chwycił czajnik obiema rękami, żeby opanować drżenie palców, i powoli zalał zmielone ziarna. Ciemny, gorący napar miarowo skapywał przez papier do kubka. Kiedy skończył, wyrzucił mokry filtr do kosza, otarł blat i wziął naczynie w dłoń.

Usiadł przy stole i wypił kawę.

Czuł jej gorzki, mocny smak i ciepło ceramiki ogrzewające zdrętwiałe palce. Świat się nie zawałił. Słońce świeciło tak samo jak pięć minut wcześniej, wpadając przez szybę i kładąc jasny, ciepły pas na starym drewnie stołu.

To był pierwszy dzień jego nowego życia.

Awaria serwera

Tomek, październik 2019

Tomek wszedł na stronę forum w niedzielne popołudnie.

Za oknem stały szare bloki z wielkiej płyty i wierzchołki brzoź z rzednącymi, żółkniętymi liśćmi. W mieszkaniu panowała zupełna cisza, przerywana tylko jednostajnym szumem lodówki i rzadkim odgłosem kropel spadających ze starej rynny na blaszany parapet. Na biurku stygł kubek z herbatą, w którym pływał samotny, wysuszony na brzegach plasterek cytryny.

Tomek nie planował niczego pisać. Od wielu miesięcy nie zostawił tam ani jednego posta, a zaglądał wyłącznie z bezwiednego przyzwyczajenia. Robił to tak, jak człowiek w poczekalni bezmyślnie sprawdza zawartość kieszeni płaszcza, chociaż doskonale wie, że nic w niej nie ma. Skrót do strony tkwił na pasku zakładki od czasów studiów, wciśnięty między pocztę elektroniczną a portal bankowy. Palce same wystukwały pierwsze litery adresu, a przeglądarka natychmiast podpowiedziała resztę.

Na ekranie zamiast niebieskiego nagłówka pojawił się biały prostokąt z komunikatem serwera:

Error 502: Bad Gateway. Could not connect to database.

Tomek zmarszczył brwi i przez ułamek sekundy pomyślał o domowym łączu. Spojrzał w prawy dolny róg monitora, gdzie mała ikonka wskazywała stabilne połączenie z siecią bezprzewodową. Otworzył nową kartę i wpisał adres ogólnego portalu informacyjnego. Załadował się w mgnieniu oka, pełen krzykliwych zdjęć, nagłówków o polityce i migających reklam samochodów. Internet działał bez zarzutu.

Wrócił do pierwszej karty.

Odświeżył stronę raz, drugi, dziesiąty. Strona nie wróciła.

Nacisnął skrót klawiszowy wymuszający twarde przeładowanie bez pamięci podręcznej. Potem skopiował adres i otworzył go w oknie incognito, jakby przeglądarka mogła uparcie pamiętać jakąś drobną, chwilową awarię, która na serwerze została już dawno naprawiona. Za każdym razem biała plansza wyskakiwała natychmiast, bez choćby sekundy wahania wiatraka w laptopie. Surowy, czarny napis o błędzie bazy danych tkwił po lewej stronie monitora, obojętny i chłodny.

Przez lata ta strona była całym jego światem. Znał na pamięć układ działów, odcienie błękitu w tabelach i małe, kwadratowe ikony informujące o nieprzeczytanych wiadomościach. Pamiętał czasy, gdy dyskusje toczyły się tam bez przerwy, a pod każdym nowym wątkiem w kilka minut pojawiały się dziesiątki odpowiedzi. Setki mężczyzn analizowały tam pojedyncze słowa z wiadomości tekstowych, kłóciły się o właściwe tempo chodzenia po ulicy, układały teorie o kobiecej naturze i wklejały wielostronicowe sprawozdania z weekendowych wyjść do klubów. Wierzyli, że jeśli tylko rozłożą każdą rozmowę na części pierwsze, znajdą algorytm, który uchroni ich przed odrzuceniem.

Teraz to wszystko przestało istnieć. Trzydzieści osiem tysięcy wątków, jedenaście lat historii, tysiące zmyślonych raportów i prawdziwych dramatów zniknęło z sieci w jednej sekundzie, gdy właściciel serwera przestał opłacać rachunek za hosting.

Nie było żadnego pożegnalnego komunikatu na stronie głównej. Nikt nie wyznaczył terminu zamknięcia, nikt nie podziękował użytkownikom za wspólnie spędzone lata ani nie zaoferował możliwości pobrania archiwalnych wpisów. Człowiek, który założył to forum ponad dekadę wcześniej, prawdopodobnie miał już zupełnie inne życie, spłacał kredyt hipoteczny, wychowywał dzieci i dawno zapomniał o nicku, pod którym kiedyś uczył innych pewności siebie. Być może po prostu zignorował automatyczne powiadomienia z firmy hostingowej, a może wyłączył cykliczną płatność z karty, bo szkoda mu było kilkudziesięciu złotych miesięcznie na utrzymywanie wymarłego skansenu.

Wraz z tym jednym błędem zniknęły wszystkie dawne wersje Tomka. Przepadły jego pierwsze, paniczne pytania pisane w nocy z pokoju akademika, gdy paraliżował go sam widok obcej dziewczyny na przystanku. Przepadły elaboraty, w których z powagą godną naukowca próbował udowodniać, że opanował zasady rządzące relacjami. Przepadły tysiące godzin spędzonych na czytaniu cudzych kłamstw i pielęgnowaniu własnych iluzji. Nikt poza garstką dawnych bywalców nie wiedział nawet o istnieniu tego adresu, a od tej chwili nikt nie mógł sprawdzić, co tam kiedykolwiek napisano. Nie było żadnej kopii zapasowej. Została tylko pusta, biała przestrzeń na ekranie.

W pokoju powoli zapadał zmierzch. Szare światło z okna ustępowało chłodnej poświacie ciekłokrystalicznej matrycy. Tomek patrzył na biały ekran przez dziesięć minut. Potem powoli zamknął klapę komputera.

Pusta strona główna

Tomek, listopad 2019

Miesiąc po awarii serwera Tomek poszedł na spacer do parku w Poznaniu.

Listopad był wilgotny, chłodny i cichy. Liście leżały na asfaltowych alejkach ciemną, rozmiękłą warstwą, pachnącą ziemią i starym deszczem. Latarnie wzdłuż parku włączyły się zbyt wcześnie, rzucając na mokry chodnik blade, żółte kręgi światła. Przez ostatnie tygodnie Tomek wstawał rano, siadał przy biurku przed włączonym monitorem i z wieloletniego przyzwyczajenia wpisywał w pasek przeglądarki stary adres. Za każdym razem widział tylko biały ekran i krótki komunikat o braku połączenia z bazą danych. W końcu przestał klikać odświeżanie. Zamknął laptopa, zostawił go na biurku, kupił bilet tramwajowy, wysiadł przy moście Teatralnym i poszedł przed siebie, w stronę starych drzew.

Powietrze szczypało w nos i gardło. W parku nie było wielu spacerowiczów - starszy mężczyzna w grubym kaszkiecie z parasolem złożonym pod pachą, dwie biegaczki w jaskrawych, odblaskowych opaskach i wrony krążące ospale nad nagimi koronami kasztanowców. Tomek usiadł na wolnej drewnianej ławce, której deski były jeszcze wilgotne i chłodne od porannej mgły.

Miał przy sobie mały notatnik. Wyciągnął go z wewnętrznej kieszeni razem ze zwykłym długopisem o niebieskiej zatyczce. Przez dłuższą chwilę trzymał otwarty notes na kolanie, wpatrując się w czystą, gładką kartkę w kratkę. Dawniej każde spotkanie i każde wypowiedziane zdanie dzielił na techniki, etapy i procedury. Analizował intonację, liczył sekundy i doszukiwał się ukrytych sygnałów w najdrobniejszych ludzkich odruchach. Przez lata zapelniał wirtualne strony tysiącami raportów, które miały dać mu kontrolę nad światem, a dawały tylko

samotność i zmęczenie. Teraz po prostu przyłożył wkład do papieru. Wpisał w nim pierwsze zdanie:

Forum zniknęło. Ludzie z tamtego archiwum rozsypali się po świecie. Większość z nich nie nauczyła się niczego z podręczników. Nauczyli się czegoś dopiero wtedy, gdy przestali je czytać.

Niebieski tusz był jeszcze świeży, więc Tomek dmuchnął na papier, żeby niczego nie rozmazać. Zamknął notatnik i schował go do kieszeni płaszcza. Obok po alejce szła dziewczyna z psem na smyczy.

Miała ciemną wełnianą czapkę naciągniętą głęboko na uszy, gruby szary szalik owinięty pod samą brodę i znoszoną, ciemnozieloną kurtkę. Pies, rudy kundel średniej wielkości o miękkich, oklapniętych uszach, dreptał energicznie po mokrej trawie, węszył wokół pni i co chwilę napinał czarną taśmę smyczy, ciągnąc ją w stronę zarośli. Dziewczyna musiała co kilka kroków zwalniać, przestępować z nogi na nogę i łagodnie go przywoływać.

Kiedy zrównali się na wysokości ławki, Tomek nie czekał na żaden wyimaginowany sygnał, nie liczył sekund kontaktu wzrokowego ani nie układał w pamięci wyuczonych formułek. Po prostu uniósł wzrok.

Tomek spojrzał na nią, uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Ładny pies. Jak się nazywa?

Dziewczyna zatrzymała się i odpowiedziała.

- Bruno powiedziała, przystając tuż przy krawędzi alejki. Kundel natychmiast podszedł do ławek, obwąchał czubki butów Tomka, parsknął i machnął puszystym ogonem. Chociaż przez większość spaceru powinien nazywać się Odkurzacz, bo próbuje zjeść każdy mokry liść i każdy zgniły kasztan, jaki znajdzie w trawie.

Tomek zaśmiał się cicho i wyciągnął otwartą dłoń, dając psu powąchać wierzch rękawiczki.

- Wygląda na wyjątkowo zadowolonego z pogody. Ja po dziesięciu minutach na tym wietrze myślę tylko o gorącej herbacie.

- On w ogóle nie przyjmuje do wiadomości, że istnieje coś takiego jak zła pogoda odparła dziewczyna, poprawiając zsuwający się szalik. Dla niego listopad czy lipiec to dokładnie to samo, byle tylko dało się wyjść z klatki i biegać po krzakach. Chociaż muszę przyznać, że jak zaczyna się marznący deszcz, to nawet on patrzy na mnie z niemym wyrzutem, kiedy otwieram drzwi na klatkę schodową.
- Wtedy spacerują się wyjątkowo krótkie zauważył Tomek.
- Rekordowo krótkie. Trzy minuty wokół trawnika przed blokiem i od razu bieg z powrotem pod drzwi. Ale dzisiaj jeszcze nie jest tak źle. Byle tylko nie zaczęło wiać od strony rzeki.
- Nad rzeką jest najgorzej. Tam wiatr i wilgoć wchodzi prosto pod każdy materiał.
- Dokładnie tak. Dlatego wolę trzymać się między drzewami w parku.

Rozmawiali przez pięć minut o zimowych spacerach.

O tym, jak wcześniej o tej porze roku zapada zmrok, o problemach z wycieraniem ubłoconych łap po każdym wyjściu na dwór i o tym, że nic nie smakuje tak dobrze jak gorąca herbata pita po godzinnym marszu w chłodzie. Nikt niczego nie udowadniał. Nikt nie próbował przejmować kontroli nad rozmową, narzucać swojego tematu, maskować niepewności ani budować sztucznego napięcia. Było po prostu dwoje ludzi, chłodne popołudnie i rudy pies, który w końcu zaczął niecierpliwie kręcić się wokół pnia pobliskiej brzozy. Dziewczyna uśmiechnęła się, ściągnęła lekko smycz, rzuciła proste „miłego popołudnia” i ruszyła alejką w stronę wyjścia na ulicę.

Tomek odprowadził ją spokojnym wzrokiem. Włożył zmarznęte dłonie głęboko do kieszeni płaszcza, czując pod palcami twardy, kartonowy róg notesu. Wziął głęboki oddech rześkiego, jesiennego powietrza.

Rozmowa była zwyczajna, prosta i nie zawierała ani jednego słowa z angielskiego słownika.

Spacer bez scenariusza

Wszyscy, podsumowanie etapu

Piotr przeszedł przez to tamtej jesieni, w chłodny październikowy wieczór, gdy minęły cztery lata od założenia konta na forum. Szedł z Anią wzdłuż rzeki, pod rzadko rozstawionymi latarniami, które rzuciły żółte plamy na mokry asfalt. Ciemna woda Odry płynęła ciężko obok kamiennego muru, a wiatr od mostu wciskał wilgoć pod kołnierz. Kurtka Piotra powoli nasiąkała mżawką, pod butami chrzęścił drobny żwir zmieszany ze zgniłymi liśćmi. W pewnej chwili rozmowa po prostu wygasła. Dawniej w takiej sekundzie włączyłby się w nim alarm: przyspieszone tętno, nerwowe przeszukiwanie pamięci w poszukiwaniu przygotowanej wcześniej historyjki, czegoś na przełamanie ciszy, czegokolwiek, co zapełni pustkę i udowodni kontrolę nad sytuacją. Tym razem szedł dalej z rękami głęboko w kieszeniach. Słyszał szum opon samochodów na estakadzie i własny, równy oddech. Spojrzał na profil Ani, na jej welniany, szary szalik i lekko zmarznięty nos. Milczenie trwało dwie minuty, potem trzy, i nie stało się w nim nic złego. Kiedy w końcu odwróciła głowę i powiedziała, że marzną jej palce, nie rzucił żadnego wyuczonego żartu. Odpowiedział, że dwie ulice dalej jest mała herbaciarnia z gorącym naparem imbirowym, i po prostu tam poszli.

Kamil poczuł to trzy lata później, wczesną wiosną, gdy topniejący śnieg odsłonił szary piach na chodnikach. Siedział w małej kawiarni przy Saskiej Kępie. W lokalu pachniało mieloną kawą, cynamonem i wilgotnymi płaszcami powieszonymi przy drzwiach. Magda, dziewczyna siedząca naprzeciwko przy małym stoliku z ciemnego drewna, opowiadała o swoim psie, który rano na spacerze rozciął łapę na potłuczonym szkłe i musiał dostać cztery szwy w lecznicy. Kamil przez ułamek sekundy poczuł stary odruch: powinien obrócić to w lekceważącą uwagę, zmienić temat, pokazać emocjonalny dystans i nie dać się wciągnąć w cudze przeżycia. Zamiast tego spojrzał na jej dłonie,

które nerwowo obracały papierową serwetkę, i zobaczył prawdziwy niepokój. Odstawił filiżankę na spodek z cichym, pojedynczym brzękiem porcelany. Zapytał, jak pies zniósł znieczulenie i czy bardzo krwawiło. Magda wypuściła powietrze, jakby ktoś zdjął z niej ciężar, a napięcie w jej ramionach nagle opadło. Rozmawiali o weterynarzach, o bezradności wobec chorych zwierząt i o zwykłym zmęczeniu po całym tygodniu. W tej rozmowie nie było ani jednej techniki, a herbata wystygła, zanim dopili ją do końca.

Marek dotarł do tego punktu kolejnego lata. Pamiętał duszny, lipcowy wieczór w centrum miasta. Powietrze pachniało nagrzanym przez cały dzień betonem, spalinami i kurzem. Szedł szerokim chodnikiem obok Karoliny, trzymając w ręku papierowy kubek z zimną lemoniadą. Na rogu ulicy zahaczył butem o wystającą płytę chodnikową, stracił równowagę i zachwiał się gwałtownie, wylewając część napoju na własne trampki. Kiedyś taki moment byłby dla niego towarzyską klęską, pęknięciem wizerunku, które trzeba natychmiast naprawić głośnym, cynicznym komentarzem albo zamaskować wymuszoną pewnością siebie. Teraz po prostu złapał równowagę, spojrzał na mokry but i zaśmiał się cicho. „Prawie wybiłem zęby na prostej drodze” - powiedział. Karolina roześmiała się bez złośliwości, szturchnęła go lekko łokciem i wyciągnęła z torebki paczkę chusteczek. Przez resztę drogi na przystanek Marek nie musiał udawać nikogo innego; szedł swoim normalnym krokiem, z płamą na bucie, czując chłodny powiew wiatru między kamienicami.

Tomek potrzebował jeszcze trzech lat, do mroźnego stycznia pod koniec dekady. Był z nich wszystkich najmłodszy i to on najdłużej wierzył, że relacje międzyludzkie to po prostu algorytm, w którym wystarczy dobrać właściwą reakcję do sytuacji. Szedł przez zaśnieżony park, a pod grubymi podeszwami butów miarowo skrzypiał ubity śnieg. Latarnie rzucały na białe alejki długie, niebieskawe cienie. Dziewczyna, z którą umówił się po pracy, w połowie jego zdania wyciągnęła dzwoniący telefon i powiedziała przeproszającym tonem, że musi odebrać, bo dzwoni jej zapłakana siostra. Tomek zatrzymał się obok ośnieżonej

ławki. Dawniej taka sytuacja wywołałaby w nim falę złości, uznałby to za lekceważenie albo próbę sił. Stał na mrozie przez kilka minut, wpatrując się w obłoki pary wydobywające się z ust, czując szczypanie chłodu na policzkach. Kiedy schowała telefon do kieszeni puchowej kurtki i spojrzała na niego z obawą, zapytał spokojnie: „Wszystko dobrze u siostry?”. Nie było w tym urazy ani kalkulacji.

Każdy z nich musiał przejść przez ten sam punkt: moment, w którym przestał traktować drugiego człowieka jak zagadkę do rozwiązania albo egzamin do zdania.

Żaden z nich nie zyskał magicznej pewności siebie. Zyskali coś lepszego: zgodę na to, że relacja z drugim człowiekiem jest prosta, niepewna i wymaga obecności, a nie scenariusza.

IV

Piętnaście lat później

ROZDZIAŁY 19 DO 24

Spotkanie w kawiarni

Piotr, maj 2026

Piotr siedział w kawiarni przy ulicy Świdnickiej we Wrocławiu. Miał trzydzieści dziewięć lat, lekko szpakowate skronie i proste ubranie bez logo: gładką, lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami i ciemne dżinsy. Poranne słońce opierało się o jasne fasady kamienic, a ciepłe powietrze pachniało nagrzanym brukiem, spalinami i świeżo mieloną kawą. Miasto budziło się do normalnego, środowego rytmu.

Obok niego przy stoliku siedziała jego żona, Ania, przeglądając katalog z projektami ogrodu. Kartkowała go powoli, przesuwając palcem po fotografiach drewnianych pergoli i rabat z trawami ozdobnymi. Dyskutowali o tym od tygodnia. Kupili stary dom pod miastem, gdzie ziemia za stodołą zarosła perzem i dzikim bzem, a teraz trzeba było podjąć decyzję, co posadzić wzdłuż płotu. Na stoliku obok dwóch filiżanek espresso leżał jej notes w twardej oprawie i ołówek z przygryzioną gumką.

- Pamiętasz, jak kiedyś bałeś się tutaj podchodzić do ludzi? zapytała ze śmiechem, znając część jego historii.

Piotr spojrzał na przystanek po drugiej stronie ulicy. Tramwaj numer sześć właśnie odjeżdżał w stronę Mostów Osobowickich. Czerwono-niebieski wagon zazgrzytał na łuku torów, wzbijając w powietrze drobny pył. Za szybami wagonu widać było profile pasażerów wpatrzonych w ekrany telefonów albo w przestrzeń za oknem.

Przez dłuższą chwilę patrzył na płytki chodnikowe przy przejściu dla pieszych. Pamiętał ten krawężnik z czasów studiów, prawie dwadzieścia lat temu. Przyjeżdżał tu popołudniami, kiedy ulica gęstniała od ludzi wracających z pracy i zajęć. Miał wtedy tanią, sztruksową kurtkę, wiecznie spocone dłonie i wbiła do głowy zasadę, że nie wolno mu stać w miejscu bezczynnie. Chodził tam i z powrotem między domem

towarowym a arkadami, zmuszając się do patrzenia kobietom prosto w oczy, jakby to była walka na śmierć i życie. W myślach powtarzał wyuczone kwestie, rozbijał każdą mijaną osobę na cechy, postawę ciała i potencjalne reakcje. Każdy krok był wysiłkiem, po którym czuł mdłości, a każdy powrót do pustego pokoju na stacji kończył się godzinami spędzonymi na forum, gdzie setki innych mężczyzn analizowały swoje porażki pod płaszczykiem naukowych teorii.

- Pamiętam odpowiedział z uśmiechem. Wydawało mi się wtedy, że całe moje życie zależy od tego, co ktoś pomyśli w ciągu pierwszych trzech sekund.

Ania uniosła wzrok znad katalogu, opierając podbródek na dłoni. W jej oczach nie było złośliwości, tylko ciepła, nieco zdumiona ciekawość kogoś, kto nigdy nie musiał uczyć się bycia człowiekiem z internetowych poradników.

- I naprawdę stałeś tutaj i liczyłeś sekundy?
- Liczyłem. Raz, dwa, trzy. Jeśli nie odezwałem się do trzech, wmawiałem sobie, że przegrałem walkę o własne życie. A potem szedłem do domu i pisałem raport, w którym tłumaczyłem samemu sobie, dlaczego akurat tamtego dnia nie podszedłem. Używaliśmy wielkich słów, żeby przykryć zwykły strach przed tym, że ktoś spojrzy na nas ze zwykłym zdziwieniem i pójdzie dalej.
- To brzmi strasznie samotnie zauważała cicho, poprawiając leżący na stole katalog.
- Bo było. Człowiek był sam wśród tysiąca ludzi, bo nikogo nie traktował jak człowieka. Każda rozmowa miała być pułapką, sztuczką, jakimś z góry ułożonym schematem. Zajęło mi lata, żeby zrozumieć, że wystarczy po prostu być, zapytać o drogę albo powiedzieć, że pada deszcz, bez żadnego drugiego dna.

Kelnerka przyniosła im dzbanek wody z cytryną. Położyła rachunek w szklance i odeszła do wnętrza lokalu. Piotr nalał wody do szklanki Ani, a potem do swojej. Z ulicy dobiegały głosy przechodniów, śmiech dwóch dziewczyn mijających ogródek kawiarni, warkot silnika dostawczego

auta. Zwykle popołudnie, w którym nie było żadnego egzaminu.

- I co z tego zostało?

Piotr spojrzał na żonę, na jej spokojną twarz, na zaznaczony ołówkiem projekt drewnianego tarasu, na swoje własne dłonie spoczywające swobodnie na ciepłym drewnie stolika.

- Nic. Czysty kurz powiedział i wziął łyk kawy.

Prawdziwa rozmowa

Kamil, czerwiec 2026

Kamil prowadził restaurację w Poznaniu. Miał trzydzieści osiem lat i zespół dwunastu pracowników.

Lokal mieścił się w bocznej uliczce odchodzącej od Starego Rynku. W czerwcu, kiedy wieczory stawały się duszne i lepkie od wilgoci, zapach ziół, smażonego masła i pieczonego mięsa długo wisiał w ciepłym powietrzu, mieszając się z chłodem starych kamiennych murów. Było grubo po północy. Ostatni goście wyszli przed godziną, kucharze zamknęły stanowiska na zapleczu, a podłogi w kuchni lśniły jeszcze mokrym płynem do mycia. Zmywak i pomoc kuchenna zdążyli już wyjść na ostatnie nocne tramwaje.

Kamil powoli obchodził salę. Wyłączał kolejne kinkiety na ścianach, zostawiając jedynie przyćmione, żółte światło nad drewnianym barem. Znał ten lokal na pamięć, każdy skrzypiący punkt w podłodze, szum chłodziarek pod ladą i cichy, gasnący syk ekspresu ciśnieniowego. Przez ostatnie lata nauczył się szacunku do prostych czynności: do krojenia warzyw, sprawdzania faktur od dostawców o szóstej rano, noszenia skrzynek z pomidorami i słuchania ludzi bez doszukiwania się w ich słowach ukrytych intencji.

Wkładał właśnie raport dobowy do kasetki pod ladą, kiedy usłyszał ciche, powtarzalne stukanie w ekran telefonu.

Pewnego wieczoru zauważył młodego kelnera, który po zamknięciu lokalu siedział w kącie i pisał coś na telefonie z ponurą miną.

Filip miał dziewiętnaście lat i pracował u niego od miesiąca. Zwykle był ruchliwy, zagadywał gości, czasem aż za bardzo przeżywał każdą pomyłką przystawkę, ale teraz tkwił zgarbiony przy małym stoliku pod ceglany filarem. Nie przebrał się jeszcze z czarnej koszuli z logo lokalu. Niebieskie, zimne światło wyświetlacza oświetlało jego ściągnięte brwi,

zaciśnięte usta i zapadnięte od zmęczenia policzki. Chłopak wpisywał kilka słów, po czym kasował je jednym gwałtownym ruchem kciuka. Przewijał stronę w górę, w dół, czytał coś z napięciem, znowu zaczynał pisać i znów wszystko kasował.

Kamil podszedł do baru. Nalał do prostej, wysokiej szklanki zimnej wody z kranu, wrzucił plasterki cytryny i ruszył wolnym krokiem między rzędami pustych stolików.

- Co tam piszesz, Filip? zapytał Kamil, stawiając przed nim szklankę wody.

Chłopak drgnął gwałtownie, jakby ktoś nakrył go na czymś wstydlivym. Odruchowo przekreślił telefon ekranem do blatu, ale po ułamku sekundy zrezygnował z udawania. Opuścił dłonie na kolana i westchnął ciężko, wpatrując się w kropelki pary osiadające na szkle.

- A, nic takiego szefie... Czytam w internecie takie porady o tym, jak rozmawiać z dziewczynami. Czuję, że ciągle robię coś nie tak.

Kamil spojrzał na leżący na stole telefon. Ekran rozbłysnął na chwilę powiadomieniem z forum internetowego. Znał ten układ strony. Ciemnoszare tło, wąskie kolumny, setki wątków z tytułami pisanymi wielkimi literami, analizy pojedynczych zdań, reguły dotyczące tego, po ilu minutach wolno odpisać, żeby nie okazać słabości, i instrukcje, jak manipulować rozmową, by przejąć kontrolę. Znał ten chłodny, pseudonaukowy ton ludzi, którzy z prostego spotkania dwojga ludzi potrafili zrobić pole minowe.

- Poznałeś kogoś? spytał cicho Kamil.
- Dziewczynę ze studiów odpowiedział Filip, wpatrując się w blat. Napisała do mnie po południu, zwykle „dzięki za ksero notatek, fajnie się gadało”. A ja od czterech godzin siedzę i analizuję każde słowo. Na tym forum piszą, że jak odpiszę za szybko, to pomyśli, że nie mam własnego życia. Że muszę odczekać do jutra, rzucić czymś chłodnym, nie zadawać żadnych pytań. Im więcej tego czytam, tym bardziej czuję, że cokolwiek odpiszę, to wszystko zepsuję. Że jestem jakiś

wybrakowany, bo sam nie wiem, co napisać.

Kamil stał przez moment bez ruchu, patrząc na młodego chłopaka, który gubił się w tych samych bzdurach, w których on sam kiedyś utonął na całe lata młodości. Przypomniwał sobie tamte bezsenne noce, duszne pokoje, stukot klawiatury i poczucie absolutnej samotności zamaskowane setkami teorii o psychologii i podbojach.

Odsunął wolne krzesło. Drewniane nogi zazgrzytały cicho na terakocie.

Kamil usiadł naprzeciwko niego. Spojrzał na kelnera i powiedział spokojnie:

- Zostaw ten telefon, Filip. Przez cztery lata pisałem tam rzeczy, w które sam nie wierzyłem. Ludzie, którzy piszą tam najwięcej, zwykle wiedzą o tym najmniej. Idź do domu, wyśpij się i jutro po prostu bądź sobą.

Kelner spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale schował telefon do kieszeni.

Dom z własnymi granicami

Marek, lipiec 2026

Marek wykańczał dom pod Warszawą. Miał żonę, dwójkę dzieci i własną firmę stolarską.

W przestronnym garażu zaadaptowanym na warsztat pachniało świeżo struganym jesionem, olejem lnianym i nagrzaną blachą dachu. Popołudniowe słońce stało wysoko, rzucając ostre, jasne prostokąty na betonową posadzkę pokrytą cienką warstwą jasnego pyłu. Marek prowadził ręczny gładzik wzdłuż krawędzi blatu, który miał trafić do jadalni w starym segmencie na Saskiej Kępie. Każde pociągnięcie narzędzia zostawiało za sobą idealnie gładką, niemal aksamitną wstęgę drewna. Cienkie wióry opadały na czubki jego roboczych butów.

Miał na sobie spodnie z mocnego drelichu ze śladami kleju stolarskiego na kieszeniach i sprany t-shirt. Ręce stwardniały mu przez ostatnie lata od ciągłego dociskania ścisków i przenoszenia tarcicy. Na kłębie lewego kciuka miał bladą, równą kreskę po dłucie, które ześlizgnęło mu się którejś jesieni, gdy uczył się ręcznego czopowania.

Z ogrodu dobiegał rytmiczny szum obrotowego zraszacza i stłumiony śmiech. Przez szeroko otwarte wrota widział kawałek zieleni, drewnianą huśtawkę i sznurki z praniem, które delikatnie poruszały się na ciepłym wietrze. Wszystko w tym miejscu miało swój ciężar, swój porządek i swój stały rytm.

Telefon leżał na strugnicy, obok suwmiarki, kątownika i ołówka. Zaczął wibrować, podskakując na twardym dębowym blacie i wzbijając drobną chmurkę pyłu.

Pewnego dnia zadzwonił stary numer. Karolina. Nie rozmawiali ze sobą od dziesięciu lat.

Marek wyprostował plecy, odłożył strug na bok na filcową podkładkę, żeby nie wyszczerbić ostrza, i wytarł dłonie o spodnie. Patrzył na podświetlony ekran. Nazwisko nie było zapisane w książce kontaktów, ale pamiętał ten układ cyfr z czasów, gdy potrafił wpatrywać się w telefon całymi godzinami. Kiedyś ten numer oznaczał niepewność, kompulsywne układanie w myślach każdego zdania, bezsenne noce i nieustanny lęk przed tym, że powie coś niewłaściwego.

Przesunął palcem po ekranie i przyłożył aparat do ucha.

- Słucham, Marek.

W głośniku zapadła krótka cisza, po której usłyszał głos. Kiedyś ten ton potrafił rozbić jego spokój na wiele dni. Był odrobinę niższy niż w dawnych wspomnieniach, ale zachował tę samą swobodną, miękką intonację, która zawsze zakładała pierwszeństwo.

- Marek? Przepraszam, że dzwonię po tylu latach... Słyszałam, że robisz świetne meble na wymiar. Czy moglibyśmy się spotkać i porozmawiać o projekcie do mojego nowego mieszkania?

Marek spojrział na ogród, w którym jego córka bawiła się z psem. Czarny kundel skakał przez strumień wody tryskający ze zraszacza, a sześcioletnia dziewczynka w żółtych spodenkach uciekała przed nim po trawie z głośnym piskiem. W cieniu jabłoni starszy syn naprawiał łańcuch w dziecięcym rowerze, skupiony, z policzkiem ubrudzonym smarem.

W słuchawce czekała ta sama niewypowiedziana obietnica co dawniej - przekonanie, że wspólna przeszłość daje prawo do wyjątków, że wystarczy uśmiech w głosie, by ktoś natychmiast rzucił swoją pracę i zmienił plany. Marek pamiętał chłopaka, który dekadę temu wsiadłby w nocny autobus na drugi koniec miasta tylko po to, żeby usłyszeć pochwałę. Tamten chłopak dawno przestał istnieć.

Marek oparł wolną dłoń o blat. Drewno pod palcami było chłodne, zwarte i stabilne.

- Cześć Karolina. Moja firma ma komplet zamówień na najbliższe pół roku, a projekty wyceniamy na standardowych warunkach rynkowych. Jeśli chcesz, mogę przesłać ci kontakt do mojego wspólnika.

Po drugiej stronie rozległo się ciche westchnienie, w tle szumiała kawiarniana muzyka albo klimatyzacja biurowca.

- O... rozumiem. Myślałam, że może dla mnie znalazłbyś chwilę...

W jej głosie pojawił się cień dawnego zniecierpliwienia, lekka pretensja, która kiedyś wpędziłaby go w poczucie winy i potrzebę natychmiastowego tłumaczenia się. Teraz brzmiało to zupełnie neutralnie, jak odgłos przejeżdżającego w oddali pociągu towarowego.

- Nie, Karolina. Pracuję na określonych zasadach. Życzę ci wszystkiego dobrego.

Rozłączył się spokojnym ruchem kciuka. Położył telefon z powrotem na strugnicy, obok ołówka i kątownika.

Odłożył telefon bez żalu. Nie czuł złości ani chęci rewanżu. Czuł spokój człowieka, który wie, kim jest i ile warta jest jego praca.

Ujął rękojeść struga w obie dłonie, ustawił stopę narzędzia na krawędzi jesionu i powrócił do wyrównywania deski. Z ogrodu dobiegł kolejny wybuch dziecięcego śmiechu.

Ostatni plik z archiwum

Tomek, sierpień 2026

Tomek siedział w swoim gabinecie autorskim we Wrocławiu. Przez uchylone okno wpadało duszne, sierpniowe powietrze, pachnące nagrzanym brukiem i suchymi liśćmi lip rosnących wzdłuż kamienicy. Gdzieś z dołu dochodził stłumiony stukot kół tramwaju i metaliczny pisk na zakręcie przy placu. Było późne popołudnie. Słońce kładło długie, skośne smugi światła na sosnowych deskach podłogi, na regałach wypełnionych książkami i na prostym, jesionowym stole roboczym, na którym stał tylko kubek z wystygłą kawą oraz laptop z matową matrycą.

Na dysku komputera miał zapisany jeden plik tekstowy: *archiwum_notes.txt*.

Przejrzał go po raz ostatni. Ekran o przygaszonej jasności nie męczył wzroku, ale kursor migał miarowo, jednostajnie odliczając sekundy. Dokument był potężny, liczył kilkadziesiąt tysięcy wierszy bez żadnych ozdobników, bez pogrubień, kolorów i akapitowych wcięć. Zawierał wyciąg z dziesięciu tysięcy wątków, zanonimizowane cytaty i notatki z wywiadów z ludźmi z tamtych lat.

Praca nad nim zajęła mu niemal cztery lata. Jeździł po kraju starymi pociągami, spotykał się w bezosobowych sieciowych kawiarniach, na dworcach i na ławkach w parkach z mężczyznami, którzy kiedyś tworzyli tamten zamknięty świat. Większość z nich miała dzisiaj po czterdzieści lat, siwiejące skronie, dzieci w wieku szkolnym i zmęczenie wypisane wokół oczu. Pracowali w korporacjach, prowadzili małe warsztaty, uczyli w szkołach albo rozwodzili się po cichu w sądach rejonowych. Żaden nie używał już dawnych pseudonimów. Kiedy przypominali sobie tamten okres, mówili ciszej, często patrząc w bok albo w blat stołu, jakby opowiadali o cudzym, cudacznie zmarnowanym życiu. Wstydzili się sztucznego języka, którym próbowali wtedy opisać rzeczywistość, ale

pod tym wstydem wciąż kryła się pamięć o dawnym paraliżu, o strachu przed odrzuceniem, który był tak wielki, że trzeba go było ubrać w pozory technicznej wiedzy i algorytmów.

Tomek przewijał tekst powoli. W notatkach miały setki pytań zadawanych po nocach przez zagubionych nastolatków i dwudziestolatków. Jak zacząć rozmowę, pod jakim kątem stanąć na ulicy, ile minut odczekać z odpowiedzią na wiadomość, żeby nie wyjść na zdesperowanego, jak ukryć drżenie rąk i niepewność w głosie. Całe to gigantyczne forum internetowe było w gruncie rzeczy próbą zbudowania grubego pancerza. Tysiące ludzi pisało elaboraty tylko po to, żeby odsunąć w czasie ten jeden prosty, przerażający moment: spojrzenie drugiemu człowiekowi prosto w oczy bez żadnego planu awaryjnego i bez wyuczonej kwestii.

Pamiętał doskonale swój własny pokój z tamtych studenckich czasów. Wąską wersalkę, zapach taniej herbaty i niebieską poświatę monitora kineskopowego, która o trzeciej nad ranem oświeślała meblościankę. Wtedy wydawało mu się, że jeszcze jeden przeczytany wątek, jeszcze jeden schemat albo szczegółowa analiza cudzego błędu da mu wreszcie immunitet przeciwko samotności i zranieniu. To była najgroźniejsza ze wszystkich iluzji, wiara, że można kontrolować drugiego człowieka i samego siebie, unikając jakiegokolwiek bezbronności.

Oderwał wzrok od monitora i spojrzał przez okno. Na chodniku po drugiej stronie ulicy młoda para czekała na zielone światło. Dziewczyna poprawiła ramiączko sukienki, chłopak powiedział coś, z czego oboje się roześmiali, po czym ruszyli przez jezdnię, trzymając się za ręce i nie dbając o to, jak wyglądają z boku. Prawdziwe życie toczyło się właśnie tam: w zwykłych, niezgrabnych gestach, w braku kalkulacji, w przypadkowym dotknięciu ramienia na przejściu dla pieszych.

Tomek wrócił do pliku i przesunął suwak na sam dół. Pod ostatnim akapitem z wypowiedzią Piotra była tylko jedna pusta linijka. Klawiatura czekała. Wiedział, że nie ma już czego zbierać, o co pytać ani czego analizować. Wszystko zostało powiedziane, a każdy kolejny

dopisek byłby tylko powrotem do tamtego starego nałogu mielenia teorii zamiast życia.

Włączył edytor tekstu i dopisał ostatnie zdanie:

Trzydzieści osiem tysięcy wątków nauczyło nas tylko jednego: nie ma żadnej techniki. Jest tylko decyzja o tym, czy chcesz spędzić życie na oglądaniu go przez ekran, czy wchodzisz do gry jako ty sam.

Zapisano plik.

Co zostaje z trzydziestu ośmiu tysięcy wątków

Kursor mrugał na dole strony w panelu administracyjnym. Baza danych ważyła niewiele ponad dwa gigabajty, spakowana do jednego pliku SQL na starym dysku zewnętrznym. Trzydzieści osiem tysięcy czterysta dwanaście wątków. Czterysta sześćdziesiąt tysięcy postów, pisanych głównie między drugą w nocy a piątą rano przez ludzi, którzy nie mogli zasnąć, bo znowu wrócili do pustego pokoju.

Herbata w kubku z wyszczerbionym uchem dawno wystygła. Za oknem, na dole przy skrzyżowaniu, żółty autobus przegubowy wypuł na chodnik kilkanaście osób w ciemnych kurtkach. Ktoś niósł siatkę z dyskontu, ktoś inny poprawił kaptur i ruszył szybkim krokiem w stronę osiedla z wielkiej płyty. Żadnych technik. Żadnych przemyślanych strategii wejścia. Zwykle jesienne popołudnie, mokry asfalt i ludzie, którzy po prostu szli do domów.

Przez lata wydawało się, że to archiwum jest czymś w rodzaju podręcznika albo tajnej biblioteki. Użytkownicy logowali się tam każdego wieczoru, jakby szli na dyżur. Zostawiali setki stron analiz: dlaczego kelnerka spojrzała w lewo, co oznaczało cofnięcie dłoni przy płaceniu rachunku, jak zinterpretować ton głosu dziewczyny z dziekanatu. Każdy gest dzielono na ułamki sekund, nazywano obcymi słowami i dopasowywano do teorii, która puchła z miesiąca na miesiąc, aż stała się osobnym językiem. Trzeba było opanować ten język, żeby w ogóle móc zadać pytanie. A kiedy już się go znało, człowiek przestawał widzieć drugiego człowieka, a zaczynał widzieć zestaw reguł, barier i procedur.

Z trzydziestu ośmiu tysięcy wątków nie zostało nic poza wnioskiem, że lęk przed odrzuceniem jest uniwersalnym doświadczeniem męskim.

Wystarczyło przefiltrować bazę według najpopularniejszych tematów, żeby zobaczyć ten sam schemat powtórzony tysiące razy. Nastolatek z małego miasta, student politechniki, trzydziestopięcioletni informatyk z kredytem hipotecznym, rozwodnik po czterdziestce. Wszyscy pisali o tym samym skurczu żołądka, który ścisnął gardło na widok kogoś obcego w tramwaju, w księgarni albo w kolejce po chleb. Różniły się tylko próby ucieczki. Jedni szukali idealnego pierwszego zdania, inni wierzyli, że odpowiednia postawa ciała załatwi sprawę, a jeszcze inni wymyślali całe skomplikowane systemy, żeby tylko odsunąć moment, w którym trzeba po prostu otworzyć usta.

Wirtualne serwery kosztowały kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Płacili za nie składkami, wierząc, że budują społeczność ludzi sukcesu. W rzeczywistości płacili za bezpieczny schron. Za miejsce, w którym można było spędzić całą noc na pisaniu o życiu, zamiast wyjść na ulicę i w nim uczestniczyć. Każdy kolejny post był jak znieczulenie. Dawał poczucie kontroli, które trwało dokładnie do momentu zamknięcia przeglądarki. Rano świat wracał ze swoją bezwzględną prostotą: dziewczyna w piekarni podawała bułki i patrzyła w oczy, a żaden ze skomplikowanych modeli nie pasował do jej zmęczonego spojrzenia.

Nie ma ludzi, którzy nie czują niepokoju przed odezwaniem się do kogoś obcego. Są tylko ludzie, którzy nauczyli się z tym niepokojem iść naprzód, oraz ludzie, którzy uciekli w teorię, słowniki i fałszywe raporty.

Ci pierwsi po prostu podchodzili, czerwienili się, płątali słowa, dostawali kosza albo numer telefonu i szli dalej. Ci drudzy wracali przed monitor, otwierali nowy wątek i tłumaczyli sobie porażkę niewłaściwą reakcją na trudne pytanie albo złym momentem rozmowy. Tworzyli raporty z rzekomych sukcesów, dopisując szczegóły, które nigdy się nie wydarzyły, żeby tylko nie wypaść z hierarchii tworzonej przez innych samotnych facetów. Liczyła się iluzja, że wszystko da się przewidzieć, skalkulować i zabezpieczyć przed bólem.

Płaski plik tekstowy z kopią zapasową wylądował w folderze z niepotrzebnymi rzeczami. Wentylator laptopa zaszumiał ciszej, kiedy

pasek postępu zniknął z ekranu. Za szybą deszcz powoli ustawał, a latarnie odbijały się w kałużach żółtymi plamami. Na przystanku pod blokiem dziewczyna w szarym płaszczu czekała na autobus. Obok niej stał chłopak ze słuchawkami na szyi, patrzył na rozkład jazdy i wahał się, czy zapytać o godzinę. Przeształ z nogi na nogę, chował ręce do kieszeni i wyciągał je z powrotem.

Projekt Wygryw powstał po to, żeby nikt nie musiał spędzić ośmiu lat na forum, próbując zrozumieć coś, co da się sprawdzić w czwartek o osiemnastej na przystanku.

Zakończenie: Zwyczajne życie bez gier

Stoisz w kolejce po kawę, w zwykły chłodny poranek, kiedy asfalt za szybą lśni jeszcze od nocnego deszczu. Ktoś obok ciebie zapina wysoki kołnierz kurtki, przesuwając mokry parasol z ręki do ręki, pociąga nosem. W małym lokalu miarowo syczy ekspres, unosi się zapach świeżo mielonych ziaren, cynamonu i parującej wełny. Za oknem przetacza się tramwaj, koła zgrzytają na łuku szyn, a neon nad apteką po drugiej stronie ulicy mruga ospale w gęstym, porannym świetle. Barista stuka kolbą o brzeg pojemnika na fusy, ktoś odbiera papierową torebkę z ciepłym rogiem, monety brzęczą na szklanej podstawce przy kasie.

Kiedyś w takim momencie włączał się w głowie cały wyuczony mechanizm. Ruszał natychmiast, jak rozpedzony, głośny silnik, który odbierał zdolność widzenia czegokolwiek poza schematem. Wzrok automatycznie szukał punktów zaczepienia: w którą stronę są zwrócone ramiona, czy ciężar ciała spoczywa na lewej czy prawej nodze, czy uśmiech jest symetryczny, ile dokładnie sekund trwa spojrzenie przed ucieczką wzroku. W kieszeni dłoń bezwiednie zaciskała się w pięść, a w myślach odliczało się trzy sekundy, po których należało wykonać ruch, żeby nie ulec wahaniu. W ułamku sekundy cała przestrzeń zamieniała się w szachownicę, na której każdy krok musiał mieć swoje taktyczne uzasadnienie.

Przez lata nosiłeś w sobie ten niewidzialny podręcznik. Przez setki nocy czytałeś kolejne wątki na czarnym tle forumowego monitora, gdy za oknem powoli bieleło niebo, a pokój wypełniał się zimnym, niebieskawym światłem. Zapisywałeś w telefonie całe listy zdań, gotowe historyjki z fałszywym ograniczeniem czasu, sztuczne pytania o opinię, które miały zamaskować zwykły strach przed odrzuceniem. Uczyłeś się ludzi tak, jak uczy się obsługi skomplikowanej maszyny, według obcych instrukcji, w których każde słowo miało swój skrót, każdy gest był klasyfikowany jako błąd albo zaleta, a każda chwila ciszy oznaczała

porażkę.

Wydawało się wtedy, że jeśli tylko opanujesz odpowiedni zestaw reguł, zniknie cała niepewność, a świat stanie się prosty i bezpieczny. Ale ten podręcznik nie uczył rozmowy. Uczył tylko wiecznego napięcia w karku, płytkiego oddechu i panicznego lęku, że jedno nieprzemyślane zdanie zburzy całą misternie budowaną fasadę. Każde wyjście z domu stawało się wyprawą na poligon, każda przypadkowa wymiana spojrzeń, testem sprawnościowym, po którym zostawał tylko wstyd, pustka i potworne zmęczenie.

Teraz to wszystko powoli cichnie. Nie ma monitora rozświetlającego pokój o trzeciej nad ranem. Nie ma kolejnych stron z drobiazgowymi raportami pisanymi po nocy, żeby udowodnić obcym ludziom w sieci, że było się kimś lepszym, odważniejszym, niewzruszonym.

Stoisz. Przed tobą jest człowiek.

Kobieta w granatowym płaszczu, która czeka na to samo espresso, trzyma w ręku kartonowy kubek i patrzy na krople powoli spływające po szybie. Ma zmarznięte palce, lekko przemoczone buty i własny dzień przed sobą, z pracą, do której nie chce się iść, z wiadomościami, na które trzeba odpisać, z drobnymi troskami, o których nikomu nie mówi. Nie ma w niej żadnej zagadki, żadnego szyfru do złamania, żadnego ukrytego mechanizmu, który należałoby przechytryć sprytnym manewrem.

Nie musisz przypominać sobie angielskich pojęć. Nie musisz analizować kąta ułożenia stóp ani szukać idealnego tekstu na otwarcie.

Nie musisz sprawdzać, czy twoje ramiona są wystarczająco opuszczone, czy twój głos brzmi wystarczająco nisko, ani ile sekund powinieneś odczekać przed odpowiedzią. Nie ma żadnych poziomów do przejścia, żadnych punktów do zdobycia, żadnych niewidzialnych sędziów, którzy wystawią ocenę za twoje zachowanie. Nikt cię nie obserwuje z ukrycia. Nikt nie czeka na twój błąd ani nie spisuje twoich potknięć.

Znika cały ten ciężki, duszny pancerz, który kazał traktować drugiego człowieka jak cel, a siebie jak aktora na obcej scenie. Zostaje tylko przestrzeń między wami, dźwięk kroków na mokrym chodniku za drzwiami, ciepło bijące od kaloryfera i prosta ulga, że nikt nie musi być kimś innym, niż jest w tej jednej minucie.

Możesz po prostu powiedzieć: *Cześć*.

A potem poczekać na odpowiedź.